



ZESZYT 150.

TOM XIX.

ROK X.

NIWA

3 (15) Marca

1881.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI: MARSZAŁKOWSKA Nr. 54.

TREŚĆ.

- I. **Centralizacya w państwie tegoczesnem**, przez *Janusza*.
- II. **O przywróceniu waluty metalicznej w Austrii**, wobec dzisiejszej walki złota ze srebrem, przez *Leona Pilaskiego* (ciąg dalszy).
- III. **Nasi nowelliści**. Szkic z współczesnego piśmiennictwa, przez *W. Z. Kościatkowską*.
- IV. **Obcowanie z dziećmi**. II. W szkole, przez *Adolfa Dygasińskiego*.
- V. **Przyczynek do historii rodziny Jana III**, na podstawie pamiętników księcia de Sant-Simon, przez *Ed. Lubowskiego*.
- VI. **Niebieska sonata**, wiersz *Bogumila Aspisa*.
- VII. **Sprawy bieżące**, XI, napisał *Bogustaw Mir*.
- VIII. **Ruch literacko-naukowy**: I) Wypisy z autorów starożytnych dla młodzieży, ułożył *Kazimierz Kaszewski*. II) O metodzie i celach rozpraw nad kwestyą żydowską, przez *Teofila Merunowicza*. III) „Pokociło się“ i „Dam nogę“, scena z życia dwóch braci przez *Elizę Orzeszkową*;—ocenił *R. B.*

WARUNKI PRENUMERATY „NIWY”.

w Warszawie: począwszy od 1 Kwietnia r. b. Na stacyach pocztowych:
z odnośnieniem do domu: z wysyłką wprost z Redakcyi:

ROCZNIE:	Rs. 8 kop. —	Rs. 9 kop. —
PÓŁROCZNIE:	Rs. 4 kop. —	Rs. 4 kop. 50.
KWARTALNIE:	Rs. 2 kop. —	Rs. 2 kop. 25.

Oplata za kwartał I-szy roku bieżącego pozostaje niezmienną, to jest wynosi, za czas od 1 Stycznia do 1 Kwietnia r. b. rs. 1 kop 75.

Za granicą cena pozostaje ta sama co w kraju, z zamianą rubli na walutę zagraniczną po bieżącym kursie.

Cena pojedynczego zeszytu w Redakcyi i w Księgarniach kop. 50.

Adres Redakcyi: Marszałkowska, 54.



NASI NOWELLIŚCI.

Szkie z współczesnego piśmiennictwa.

- 1) *J. I. Kraszewski*: „Z dziennika starego dziada.“ Tygodnik Powszechny r. 1870.
- 2) *Eliza Orzeszkowa*: „Z różnych sfer.“ 2 tomy, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1880 r.
- 3) *Henryk Sienkiewicz*. Pisma, tom I-szy, Warszawa nakł. G. i W. 1880 r.— „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“ *Nica* z 1 Grud. 1879 r.— „Przez stopy“, *Gazeta Polska*, 1879 od N. 146 do N. 159.— „Humoreski z teki Worszytły“, nakład Przeglądu Tygod. 1872 r.
- 4) *Wł. Okoński*: „Za Życie: Chawa Rubin, Damian Capenko, Karl Krug“ Warszawa nakład spółki nakładowej 1880— „Klemens Boruta“, *Nowiny N. tygodniowe* od 1 do 1880 r.
- 5) *Bolesław Prus*: „Szkatułka Babuni“ *Kurier Warsz.* „Przekłète szczęście.“ Tamże: „Sieroca dola“ tamże.
- 6) *Michał Bałucki*: „Z książeczki Pamiątek“ *Biesiada literacka* r. 1879 i 1880.
- 7) *El-em.* „Na Włosku“ *Bluszcz* 1876 N. 21.— „Gasnące lato“ *Bluszcz* 1878 N. 29.

W śnie zakłète, piękna królowna, spała w zaczarowanym zamku. Na wysmukłè wieżè, na niebotycznych arkad łuki, na głowie o misternych rzeźbach, na sprzęty bogate, na barwne materye, na gości i służy, na kapełè i na chóry, na kwitnące kwiaty i na śpiewające ptaki spadła niemoc kamienna, tajemnicza, ćmiąca blask dnia i krasè kwiatów i świeżość lic uspięnej królowny, gdy tymczasem dokoła pająki snuły zapyłoną sieć zapomnienia. W tem zjawił się waleczny rycerz. Przez skały, przepaście błędne, puszcza porośle drogi, dotarł do zakłètego zamku i na

ustach uspionej piękności gorący kładąc pocałunek, zbudził ją do życia.

„Królowna,—jak baśń opiewa,—poślubiła walecznego rycerza, czyniąc go panem zamku i swej osoby.“

Stara jak świat bajka! Królowna—to sztuka; zamek bogaty—zdobyte nagromadzone rozwijaniem się w pewnym kierunku sztuki; wróżka rzucającą zaklęcie—czas; snem—omdlałość pewnej zużytej formy; rycerzem—prąd nowy, którego pocałunek budzi z uspienia sztukę; błędne drogi—tory, które nowe prądy zdobywać sobie muszą; smoki i na białe hukające puhacze—wierny obraz stróżów nietykalności tego wszystkiego, co było, co jest. Pierzchną oni w cieniu lub przedzierzgną się w dworaków nowego porządku, skoro się uda śmiałkowi przedsięwzięcie, skoro zbudzi i poślubi piękną.

Stara jak świat bajka! tylko imię rycerza podlega zmianom. *Romantyzm* na imię było mu niedawno, temu zaś, co się obecnie w zaklęte rwie podwoje na imię: *realizm*. Że piękny, młody, silny, gorącym pocałunkiem zbudzi uspioną, przeczyć trudno. Czy zaś zbudzona weźmie go za oblubieńca i pana, czy jak dzikiego odepchnie wandala? Byłoby to istotnie kwestyą sporną, gdyby realizm w sztuce i w literaturze był rzeczą nową, nie wypróbowaną lub gdyby był naturalizmem. Lecz naturalizm jest tylko najpośledniejszym gatunkiem realizmu w sztuce. Poniewiera ją, naginając do przedmiotów i sytuacji jej niewłaściwych. Do naturalizmu dają się wybornie zastosować słowa Kochanowskiego.

„By się to wszystko pisać miało

„Jużby mi dawno papieru nie stało.“

To też rozgościł się on na dobre tylko w piśmiennictwie francuzkiem, a i tam nosi cechy przechodniego zjawiska, reakcyjnego objawu, gdy przeciwnie kierunki realistyczne są zwrotem sztuki do źródeł prawd i doświadczeń z życia czerpanych, jedynie zdolnych zasilić ją i ożywić. Olbrzymi rozwój nauk ścisłych i przemysłu, ściągnał w epoce naszej sztukę z niedostępnych empyreów na drogi codzienne, z tem wszelako zastrzeżeniem, aby wysłannica ta ideału, drogi owe rozjaśniała, prostowała, przyozdabiała wonią i kwieciami, stojąc na nich jako przewodniczka do oddalonej lecz upatrzonej mety.

Taki kierunek wyrabia z natury rzeczy inny, ściśle z nim związany: celowości, czyli tak nazwanej tendencyjności. O tej ostatniej niejasne

krażą po świecie wyobrażenia, uświęcone poniekąd przez nadużycie tego wyrażenia w krytyce literackiej. Zdarza się często, że ci nawet, którzy dzierżąc sami pióro, najdokładniej powinni być obznajmieni z warunkami kompozycji, pod tendencyjnością, w powieści naprzykład, rozumieją dydaktyczną formę powieściową i niedość zwracają uwagi na to, że powieść realistyczna, z natury swej od spraw społecznych i obyczajowych zawisła, z zagadnieniami psychicznymi spojona, dąży do wyświecenia zagadek, stawia postulaty. Dochodzi zaś do zamierzonych rezultatów za pomocą dobranych ku temu motywów, światel, cieniów, stopni, grup, jednym słowem—posiłkując się środkami jakimi rozporządza sztuka. Naciągania zaś faktów, sytuacji, charakterów gwoli upatrzonym przez autora celom i pobudkom, bywają tu jak i gdzieindziej środkiem chybionym, zdradzają brak talentu lub niedojrzałość artystyczną pisarza.

Geneza prądów realistycznych sięga wzorów niepożytych greckiego geniuszu, rzymskiej cywilizacji i dzieł epoki odrodzenia. Co do nas, komu pobieżnie chociażby znane są dzieje naszego piśmiennictwa, ten nie zaprzeczy, że od Rejów i Kochanowskich, do Krasickich i Niemcewiczów nie zwykło ono odbiegać od ożywczych źródeł realizmu. Skoro zbaczało od takowych, wpadało w mdle naśladownictwo obcych, nie zawsze szczęśliwie dobranych wzorów, wynarodowiało się, kaziło zamiast bogacić język, zamierało na jałowym grancie pseudo-klasycyzmu. Na realny ten kierunek wpłynął duch narodu i duch języka jako też przebieg dziejowy.

Spekulacje oderwanej natury nie miały, jak wiadomo, nigdy u nas wielkiego powodzenia. Umysł lgnął z upodobaniem do rzeczy i obrazów pełnych życia i prawdy dotykanej niemal; a choć wiara żywa i pamięć żywa podniecały z jednej strony wyobraźnię, z drugiej—naturalny popęd do czynów chociażby dorywczych, powstrzymywał zbyt wybujałe takowej poloty. Z jednej strony rzewność, tkliwość i tęsknota, z drugiej werwa i aż rubaszna wesołość wytworzyły geniusz realny, lecz przytem skłonny w barwy poezji oblekać najpowszedniejsze zjawiska. Nic wrażeń wysnuwaną była z przyrody, z którą wiążą nas przeważne rolnicze skłonności, z podań pełnych ruchu, z dziejów, których chwaly i rozpacze wzbijają umysł w podniosłość, rzucając nam w piersi całą gamę tonów różnorodnych lecz wóczas nawet, gdy się wzbijają w najwyższe nieba, płynących z głębi dotykanych bólów i nienaruszalnych pamiętek. Ztąd ten potężny liryzm odznaczający naszą poezją, liryzm nawskroś przepojony uczuciem a nie fantazją. Ztąd ten właściwy nam

realizm poetyczny którego ostatniem słowem jest narodowy poemat: „Pan Tadeusz.“ Ztąd ideał zawsze i wszędzie obecny, jasny i określony, ztąd popęd do kierowania ku tym ideałom wszystkich kolei, któreby do niego zbliżyć mogły...

Z łona narodu, we wczesnej dziejowej dobie zaprzątniętego sprawami społecznymi, z łona tej szlachty, w pól rolniczej, w pól rycerskiej, okrzyczanej przez niezdolnych ją zrozumieć, a która właściwie była narodem, i której najskromniejszy chociażby członek zdawien dawna, był i czuł się odpowiedzialnym obywatelem, czynny biorąc udział w publicznych sprawach i w radzie państwa o wiele wcześniej niż o tem zamarżono w Ameryce i we Francyi, z łona tego narodu nie mogli powstać pisarze uprawiający sztukę dla sztuki, w celach oderwanych od spraw społecznych i bieżących. To też piśmiennictwo polskie, jak niegdyś w Rzymie na trybunie, zakwitło: wolnym głosem na sejmie i sejmiku, w domu i po za domem, ustawicznym, szerokim i drobiazgowem roztrząsaniem kwestyj publicznych. Wszystkie nowe gałęzie piśmiennictwa przesiąkły temi wpływami, naginając się do narzuconej naturą rzeczy celowości, czyli tendencyjności.

Geniusz naszego języka, skłaniając się do realizmu, jest zarazem szkopułem, o który rozbija się naturalizm. Błogosławioną tą tamę stanowi jedrność jego, dosadność wyrażeń i ubóstwo dwuznaczników, przy bogactwie słowa dozwalajacem poecie cieniować uczucia i wrażenia do nieskończoności niemal, bez naruszenia przez to ścisłego znaczenia określników. To też weźmy naprzykład chociażby swawolne „fraszki“ Kochanowskiego. Ile w nich jest rzeczywistości i uczucia. Pod krotoczwilnym nastrojem czuć serdecznego poetę, co się tak sam ze swych „fraszek“ przed Mikołajem Firlejem niewinniał:

„..... ma być stateczny
Sam poeta tymczasem ujdzie i wroteczny.“

Nie trzeba zresztą zapominać, że owa swawola, licująca z wiekiem, w którym „fraszki“ pisane były, daleką jest od cynizmu. Wstydlivość publiczna mniej wówczas niż obecnie, bywała obraźliwą, a może tylko mniej obłudną, bo i czegośmy się nie nasłuchali od powieściopisarzy francuzkich!

W pierwszej połowie naszego stulecia, gorąca walka romantyków z klasykami i głośne zwycięstwo pierwszych nad ostatniemi, utrwaliło realistyczne kierunki właściwe naszemu piśmiennictwu. Kierunkom

tym wiernemi pozostali nasi wieszczowie, z wyjątkiem Krasieńskiego, a w poczcie naszych powieściopisarzy, z tych, których talent domaga się, by się z niemi liczone, same tylko panie: Żmichowska, Ilnicka i Deotyma wyłamują się z pod kierunku tego wyraźnie. Wielokrotnie na protest ten z ich strony złożyły się przyczyny; głównymi są niewątpliwie indywidualne właściwości i zalety wybitne ich talentów: u Gabrieli—zbyt bujna fantazyja, idealizm u pani Ilnickiej u Deotymy skłonności wrodzone poetce i improwizatorce, niezdolnej zawrzeć pomysłów swych w ramach realnej powieści. Za to kierunkom realistycznym odpowiada najzupełniej przyniesiona nam niedawno wiązanka utworów beletrystycznych w najprostszej powieściowej, a jak to zobaczymy niżej, nie w najłatwiejszej do uprawiania, formie: nowelli.

Forma ta, jak już wiemy, bynajmniej nie nowa, owszem, prastara piastunka romansu, niegdyś pod rytm bazarzy bujała kolebkę twórczej fantazyi, snując z Sacherezadą tysiące podań i baśni. Jakiemi drogami: czy przez maurów i Hiszpanią, czy przez krzyżowców, czy przy zbudzeniu się średnich wieków u schyłku swego zwracających się do źródeł pogańskiej sztuki klasycznej, przedostała się do francuzkich *contes et fabliaux*? jak ją tam uszczknął Boccaccio, za europejską ojczyznę dając jej Włochy? jak odtąd wszędzie i zawsze bywała uprawiana?—należy to do historyi nowelli. Nie od rzeczy jednak będzie zaznaczyć w tem miejscu, że forma ta, stosownie do ducha uprawiającego ją narodu i do kierujących nią prądów sztuki, raz obniżała się do błahości, drugi raz wzbijała wysoko, w akord arcydzieł piśmienniczych, rzucając krótkie lecz zwięzłe i pełne tony. Raz była tem, czem odnośnie do płócien mistrzów pędzla są odymione lub jaskrawe landszafty po jarmarcznych budach i salach stacyj pocztowych, wzdłuż opuszczonych dziś gościńców; w najlepszym razie czemś podobnem do nieudolnych akwarel, zdobiących niebieskie kartki albumów babek naszych; drugi raz odznaczała się zaletami wytwornej miniatury lub tych przedziwnych rodzajowych obrazków, gdzie artysta na kilku calach kości lub płótna kreśli poematy barw i ruchu. Pierwsze zdarzało się o wiele częściej niż drugie—i nowella, epizodyczna opowieść, szkic uroniony mimochodem niby, to znów subtelny obraz o zredukowanych rozmiarach, wzbijała się do najcenniejszych utworów sztuki tam i w ówczas, gdzie i kiedy piśmiennictwo najmniej odbiegało od źródeł realizmu. Fakt ten daje się łatwo objaśnić epizodycznością i prostotą, warunkującą budowę dobrej nowelli. Forma ta w żaden żywy sposób uporać się nie może z fałszywą lub naciąganą treścią i sytuacją. Pathos i deklamacyje sentymentalne w skupie-

niu nowelli nabierają rażącej kliwkości. Fakt ten rzuca też światło na napływ nowelli w bieżącej literaturze i na zajęcie przez nią w piśmiennictwie europejskiem poczesnego miejsca. Gdy przed niedawnymi jeszcze laty, przy wartkim przyplywie powieści zrodzonej ze szkoły romantycznej, nowella sączyła się mizernym strumykiem, dziś, przy ogólnym zwrocie do prostoty, szybko następujących po sobie wypadków i naturalnych nie zaś sztucznych wrażeń i efektów, zakwitła ona niemal wszędzie.

Najniepomysłniej przedstawia się nam w literaturze francuzkiej. „Przeгляд dwóch światów;“ niedostępny dla przekładów z obcych języków, dające się czytać nowelle zapożyczać musi jednakże od cudzoziemców. Na gruncie wrzącym walką szkół pod niedokonanym ostatecznie przełomem, kipią namiętności, dla których tak prosta i zwiezła forma nie może być odpowiednią szatą. Naturalizm wyglądałby w niej zbyt nagi i suchy; z olbrzymiami zresztą swemi pretensjami i nawałą szczegółów pomieścićby się nie zdołał w zamisternych ramach. A gdy maniera i sentymentalizm szkoły przeciwnej, niezdolne są dopasować się do śmiałości rzutu i szybkiego toku, warunkujących budowę nowelli, panowie Delpit *et compagnie* z wielkim trudem ronią nędzne i mdłe plody, a nawet wdzięczne szkice Ernesta Daudet'a nie mają wiele więcej wartości od albumowych ilustracyj.

Mało nam znane skandynawskie literatury, o ile z rzadkich o nich wzmianek wnosić można, obfitują w nowelle. W Hiszpanii, don Pedro de Alarcon, rycerz i poeta, kreśli obrazki, których szczupłe nader przeniesione aż do nas ułamki odpowiadają najsurowszym wymaganiom sztuki. Po za Atlantykiem mamy książećcia nowoczesnych nowellistów Bret—Harte'a, a w Anglii Ouida pisze cudowne nowelle i o wiele mniej piękne romansy. W Czechach uprawiają nowelle z powodzeniem Eliszka Krasnohorska, Karolina Świetla, Herites i poeta Jan Neruda, autor *Arabesky, Różni lide, Obrazy z ciziny*. Naturalnie wspominamy tu tylko o najsłynniejszych nowellistach, chcąc uprzytomnić pamięci czytelnika obecny ruch nowellistyczny w Europie. Niepodobna przy tem pominąć milczeniem pana Sacher Mazocha, którego narodowość określić się nie da. Wedle niedyskrecyi samego autora, jestto dotąd przez naturalistów nieznaną aglomeracya czegoś hiszpańsko-węgiersko-galicyskiego itd. Niepospolity talent pisarza tego domaga się wyjaśnienia przyczyn zabraniających mu zająć miejsce w licznym i świetnym, jak widzieliśmy dopiero, poczcie współczesnych nowellistów. Kto czytał utwory tego domniemanego potomka dawnych grandów hiszpańskich, zajmującego

obecnie miejsce policyanta w państwie austriackiem, ten wie, w jak wysokim stopniu posiada on zalety potrzebne nowelliście: fantazyą bogatą, pióro ostre, lekkie, szybkie, i śmiałe, słowo giętkie, miłość istotną i doskonale zrozumienie przyrody, plastykę wypukłą, umiejętność gromadzenia na tle światła, cieni i półcieni, otwierania i zamykania perspektywy. Cóż, kiedy pan Sacher Mazoch dary, na jakie tyle się dobrych złożyło wróżek, zszargał na niegodne talentu cele, schlebując niskim popędem—falszował i gwałcił prawdę, targając tym sposobem niezbędną dla sztuki harmonią i powagę? Cykl nowelli na tle quazi słowiańskim, quazi rusińskim pisanych, pomimo powodzenia w pewnych kołach towarzyskich, którym utwory te schlebially, lub które oddźwięku fałszu schwytać nie były zdolne, pomimo tkliwej, a pod powiewem politycznych względów skoro ostudzoną pieczołowitości „Przeglądu dwu światów,” pomimo odznaczającej je artystycznej pierwszorzędnej piękności; nie doda ani jednego listka do wieńca sławy autora, charakter jego piętnując wzgardą, jaka zaćmiła już nieraz imiona o wiele głośniejsze od imienia pana Sacher Mazocha.

Wątpliwości nie podlega ścisły, nader ścisły związek, w jakim pozostają dziś talent i wzięcie pisarza z jego charakterem. Realizm, wprowadzając tendencyjność w odłam belletrystyki — w powieść, niepomiernie wpłynął na zjawisko to wysokiego etycznego znaczenia. Społeczeństwa też współczesne zbyt wysoko podnoszą sztandar przynajmniej, jeśli niestety—nie skalę moralności, by zbyt niemię pobłażaniem obdarzać tych, co wiedzą, umysłem lub talentem wybiegają w szeregi przodowników. Żądając od nich legitymacji ze zdolności, żądają zarazem wyznania wiary—to jest zasad. Charakter bowiem, będący podstawowym motorem każdego osobnika, u osobników obdarzonych szczególnym, zśród tłumu wyróżniającym ich darem: jako to talentem, słusznie uważany bywa za etycznego regulatora talentu. Jeśli prywatny charakter pisarza, dla bacznego oka czytelnika, zdradza się w tem, cośmy zwykli nazywać *temperamentem* autora; jeśli pomimo najdokładniejszą chociażby obiektywność, odsłania się w wyborze przedmiotu i sposobie traktowania onego; to już publiczny charakter, to jest te właściwości indywidualne, które zahaczają o ruchy społecznych zabiegów i celów, słusznie bywa uważany za probierz i ster działalności osobników obdarzonych talentem i, za pośrednictwem talentu, wywierających wpływ na masy społeczne. Zkądinąd: jeśli elementarne poczucie dyskrety, dozwala zaledwie snuć ciche domysły o prywatnym, a w dziełach pisarza zdradzającym się charakterze natomiast elementarne zasady obywatelstwa i prawa solidarności, nakazują baczną zwracać uwagę i ściślej poddawać kontroli publiczną stronę charakteru każdego, kto wysuwając się na-

przód, chce za sobą pociągać tłumy. Poczucie tej wzajemnej zależności talentu od charakteru, tak dalece zapuszcza obecnie korzenie, że najpoważniejsze umysły, wzdragając się łączyć geniusz z nikczemnością charakteru, a wzniosłość tegoż z dziełem demoralizującym, wola posądzać Bacon'a naprzykład o plagiat, a takie pióra, jak Macauley'a, najtliwszych dokładają starań, by z lic Machiavelego patryoty i republikanina, zetrzeć sadzę, którą oburzone pokolenia obrzuciły autora *Il Principe*.

Bywają przy tem okoliczności obostrzające jeszcze baczność, o jakiej mówiliśmy wyżej. Gdy naprzykład społeczeństwo jakieś, z całym swym składowym organizmem, wielostronnemi potrzebami, widzi się skrępowanem w nieruchomej postawie i skazanem na wypowiedanie skłonności swych, nadziei, bólów i potrzeb niezbędnych, ograniczoną z góry ilością słów, jakże każde słowo rachowanem jest ściśle, skierowanem do określonego celu, nabrzmiałem doniosłością. Przy podobnym stanie rzeczy zjawiają się nieuniknione niestety! przy podobnych warunkach, zawilość stosunków wikłające, a sytuację niernormalną zaostrzające: niewiara i podejrzliwość! Każde słowo zdrowej nawet częstokroć rady i nauki, nie będzie słuchaniem lub budzi niechęć, skoro drażni rozognione rany skrępowanego ciała. Rzeczy znatury swego ciała temu najbliższe i najcenniejsze, chociażby gorąco i uczciwie podjęte, lecz niedopowiedziane, nie dające się wszechstronnie przedyskutować, stać się mogą przedmiotem zgorzenia. Nadto przy podobnym stanie rzeczy, łatwo wyrabia się w organizmie cierpiącym pewien znaczny odsetek umysłów wstecznych, lub charakterów zwichniętych. Niezdolni do czynu, do inicjatywy, chciwi tem niemniej rozgłosu i wpływów, nicosć swą lub wsteczność chowając za paladyum hasel utartych, czerpanych w ograniczonym słowniku skarg zgłuszonych i niedopowiedzianych nadziei, jedni w dobrej, a inni ze złą wiarą i gwoli esobistej, chwilowej częstokroć wygodzie, potępieniem bezwzględnem i gorszem od potępienia poduszczaniem, mącą wyobrażenia i popędy, których i bez tego czystość u samego źródła jest już zagrożoną. Niepospolite talenty, gorące uczucia, zrażone nieufnością zmiłknąć mogą lub nucić zacząć na zużytej nutę piosnki te, które „słuchacz w duszy swej dośpiewa,“ lecz które są „pieluchą a nie ostrogą,“ a choremu ciału pomagają usnąć, zamiast wzmagać się stopniowo. Gdy tak wszystkie pulsa pewnego społeczeństwa zwarte gwałtownemi koniecznościami biją o strome brzegi jednostronności, najtrudniejszą do osiągnięcia i praktykowania, najcenniejszą zarazem i dla chorego ciała najzdrowszą zaletą, będzie trzeźwość pisarska. Trudność ządania rozwiązuje w znacznej części realizm.

Przy bliższem zatem w nich rozpatrzeniu się, prądy nowe, ożywiające naszą literaturę, przedstawiają podwójny narodowy charakter: tradycji i utylitarizmu. Że są na dobre, świadczy o tem wzmagający się popęd do czytania. Tu parę słów wystarczy dla określenia utylitarnego znaczenia realistycznego prądu. Nie gardząc zjawiskami powszedniej natury, rozumiejąc ich doniosłość, mnożąc i prostując poziome wprawdzie, wązkie, ocienione lecz ruchem swym o życie wewnętrznem świadczące, drogi i ścieżki, te właśnie, po których co dzień stąpać nam wypada; rozświecając wewnętrzne głębie; ostrzegając przeciw jawnym i skrytym niebezpieczeństwom i pokusom; rozszerzając zdobyte ujścia, wytrwale zdobywając nowe,—prądy te nietylko nie burzą pracy przeszłych pokoleń, lecz posługując się wzgardzonymi przez czas jakiś materiałami, jakimi są szczegóły, kamień po kamieniu dźwigają, z samej głębi wewnętrznej, podwaliny tego porządku, którego oddalone szczyty, przed niedawnemi laty, natchnieni poeci złocili, żywą swą oblewając purpurą. Ci co tam u dołu pracowicie znoszą na podwaliny cegły i cegielki, złotych tych, przez wieszczów wskazywanych szczytów, ani na chwilę z oczu nie tracą, bo dla najwyższych właśnie szczytów najgłębsze zapuszczać trzeba fundamenty. Lecz aby trzeźwe to zrozumienie potrzeb społeczeństwa swego i czasu cierpiącemu ciału nie zdawało się urąganiem lub potępieniem, aby zapuszczanie sondy nie raniło bezskutecznie, a z głębin odkrytych—wiadomo, jak w głębiach bywa—wylaniające się na światło dziennne zawartości, nie budziły niebezpiecznych wstrętów, trzeźwość, o jakiej tu mowa, nierozłączna być powinna z wiarą i miłością, bo wiara i miłość jedynie zdolne są ją zapłodnić. Taka to trzeźwość cechuje prace, o których mówić zamierzaliśmy. Każdy z autorów tych prac na szerszych drogach: powieści obyczajowej i społecznej, dramatu, komedyi i publicystyki zaznaczył wybitnie obywatelskie swe stanowisko. Mówiąc o drobnej cząstce ich działalności: o nowelli, będziemy mieli zręczność wniknąć w etykę ich trzeźwą, a przepojoną miłością i wiarą. Postępując zaś za nimi krok w krok, ani na chwilę z oczu nie stracimy narodowego ideału.

Bo obok wszech ludzkich ideałów, jakimi są: prawda, miłość, światło, obowiązek, poświęcenie i tak dalej, każde społeczeństwo odpowiednio oplatającym je tradycjom i warunkom bytu, ciąży ku pewnym dążnościom, odznacza się przewagą pewnych skłonności. Skłonności te i dążności stanowią szczególny narodowy ideał. Obecnie nam przyswiecający dałby się określić jednym słowem: dźwigać się! Dźwigać na wszystkich punktach: moralnych, obyczajowych, umysłowych, i społecznych, pracować, kształcić, gromadzić, wzbogacać wszechstronnie, starać się dosięgnąć tam, gdzie inni już dosięgli, na dostępnych dla

nas drogach prześcigać współzawodników, gdy już na tyłu innych drogach przescigniętemi jesteśmy.

Nikt świadomy rzeczy nie zaprzeczy chyba temu, że należymy do grupy społeczeństw wykształconych etycznie, nie dziś dopiero wchodzących na drogi cywilizacji. Posiadamy w przeszłości bogaty zapas, w którym czerpać możemy i nie poczynać dopiero mamy, lecz dźwigać się w powstrzymywanym nie od nas zależnemi przyczynami rozwoju. Lecz aby móżdż się podźwignąć, nie dość mieć po za sobą przykład, a przed sobą ideał. Trzeba nadto, trzeba przedewszystkiem poznać dokładnie drogi do celu tego prowadzące, poznać i zgłębić niedostaki, usterki, słabości wznoszące się zaporą na rzeczonych drogach, zgłębić przyczyny i ich skutki, zastosować skuteczne przeciwdziałania. Zobaczmy zatem, czy warunkom tym odpowiadają i w jakiej mierze utwory belletrystyczne, o których mówimy, a które dzięki drobnej objętości, wdziękowi i zaletom artystycznym, będąc dostępnymi dla najszerszego koła czytelników, z natury swej są powołane do odegrania moralnie roli, jaką w świecie roślin odgrywają pomysłne powiewy, z puchem kwiecia rozrzucając nasienie po obszarach.

Starzec, wojak niegdyś, kolejami życia na bruk miejski rzucony, „samiuteńki jeden jak palec na świecie całym,“ pędzi żywot spokojny, mając wszelkie prawo sądzić, że tak będzie do końca. A do końca tak blisko. „Siedm krzyżyków, zgarbione plecy, sił niewiele.“ Przytem „u Potockich półtora tysiąca czerwonych złotych na prowizyi, w sepecku na wydatki ekstraordynaryjne złotych tysiąc w dukatach obrączkowych, garderoba siaka taka, z precyozów: obrączki ślubne, sygnet pradziadowski, zegarek brat słońca.“ Czego chcieć—jak mawia najzupełniej z fortuny swej zadowolony staruszek. Mienie to, wystarczające dla człowieka skromnych nader przyzwyczajzeń, co jada tyle tylko „byle iskierkę tlejącą czemkolwiek podsycić, by nie zgasa.“ Z tego nie tylko wyżyć można przyzwoicie; nadto pozostają okruchy dla myszy i wróbli, jest czem przykarmić i przyodziać Czupurnego, dziecię ulicy przez straganiarkę Izidorową, z „miłosierdzia“ wychowane. Gdy znudzony nauką czytania łobuz zemknie, staruszek weźmie sobie psa kalekę, wyleczy go, a że gospodarz domu mieszkańcom trzymać psów nie pozwala, za stosownem wynagrodzeniem, ulokuje wychowanka u miłosiernej straganiarki. Poczciwości bo też starowina! „Nie filozofale *simplex servus Dei*“ i choć ma „snu mało, wspomnień do zbytku,“ w sercu pustki nie ma. Owszem „gdy się nie może żywych kocha się umarłych, a ci żywi, — mówi—jak mi Bóg miły, nie tak są znowu źli i czarni jak ich tam malują.“

W każdym też dobrą gotów upatrzeć stronę: oburza się gdy wymyślają na zbiega lobuza, nie wątpi, że senatora witającego go grzecznie przy spotkaniu w Saskim ogrodzie, zainteresuje w losie Czupurnego—jużci by tak wypadalo! Obojętność senatora tłumaczy dobrodusznie: „człowiek wielkiego świata—umie nic nie pokazać po sobie.“ Pelen pobłażenia dla ułomności bliźnich, uniewinnia starą pijaczkę: raz, że służąc Szalcerowi, mogła nabrać nalogu; powtóre, że opuszczona jest i w wielkiej nędzy.“ „Dobrze nam,—dodaje,—co mamy przytulek, jakie takie jutro, na nędzarzy hałasować; a co w ich stanie! tyle szczęścia co sobie palkę zaleje. Politowania godni nie uragowiska.“ Nawet faworyty swe—myszy, które sobie pod nieobecność jego w mieszkaniu trochę pozwalały i kamizelkę pogryzły, ekskuzuje: „stara już była (kamizelka) ale co tam w niej smacznego znalazły, pojąć nie mogę. Fantazyja! aby zębięta nie próżnowały.“ Ze wszystkich żywych istot staruszek ma pono wstręt do jednego burego kota, czatującego na dachu na wróble. „Psią juchą“ go laje, skarży się, że go „często tak zirytował;“ i gdy go nie widzi czas jakiś, na zwykłym stanowisku, bez zbytniego żalu przypuszcza, że i „dla niego godzina sprawiedliwości wybiła.“

A i dla starca tego bije ciężka i nie zasłużona godzina. Nieuczciwy gospodarz, wyludziwszy ściągnięty od Potockich kapitalik, bankrutuje w nieuczciwy sposób. „Okoliczności,—mówi zacny staruszek,—e czasy, rachuba fałszywa.“ Nie wierzy, aby go „Pan Bóg za zęufanie w ludziach tak pokarał;“ a gdy zmuszonym jest zgodzić się na oczywistość „stań się wola Twoja.“ Rezygnacya i łagodność nie opuszczają go ani na chwilę. Przestaje jadać regularne obiady, perswadując sobie: „trzeba brać przykład ze stworzeń Bożych, które ani złota ani kucharzów nie mają, a są silne i zdrowe.“ Zinniejsza się szybko w sepeciku zasób przeznaczony na ekstraordynaryjne wypadki; stary schodzi na suchy chleb „istotną kuracyą dla człowieka;“ pozbywa się wszystkiego; najtrudniej mu rozstać się z ojcowskim sygnetem. Odstępują go przyjaciele a z niemi iluzye. Przekonywa się, że: „ludzie są słabi i na widok cudzego nieszczęścia tak jak zaraźliwej choroby czują niepokój i twogę;“ to też „ubogim najlepiej z ubogiem: swój swego rozumie;“ a przed możniejszymi kryć się trzeba z biedą, fantazyją nadrabiać. Chciałby znaleźć pracę, ale—taki „stary!“ Aż dnia pewnego, przewyciężywszy szlacheczkie narowy, pójdzie piłować drzewo na wspólną z równym sobie nędzarzem... „wytrwać trzeba, serca sobie nie psując, ba, od czegoż Opatrzność: tylko co jej nie widać.

Niezgodnem z prawdą życiową byłoby, aby czarne te, nad końcem życia starca gromadzące się chmury, nie rozświecić jaśniejszym przeblyskiem. Zrozumiał to doskonale autor, tworząc tę istną perłę literacką,

jaką jest „Dziennik dziada.“ To też wyglądana przez starca Opatrzność zjawiała się w najniespodziewanej nadesłanej zapomodze pieniężnej, zjawiała się w postaci Czupurnego. W jednej z najpiękniejszych scen, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się czytać, przygarnięty niegdyś przez starca łobuz, obecnie roznosiciel gazet, pamićz niemal, będzie usiłował dopomódz swemu ongi opiekunowi małym datkiem. Zburczany przez niego, wybiegnie zaperzony, zostawiając starca wpół obrażonego, wpół rozrzewnionego. Opatrzność zjawi się w postaci psa, co spotkawszy swego ongi dobroczyńcę, odejść od niego nie zechce. „Chwili tej nigdy nie zapomnę — pocziwe psisko!“ zawoła staruszek. Opatrzność wreszcie, to owe rozbudzone wspomnienie o „boskiej Paulince“, którą rodzice gwałtem wydali za starego, lecz która dotąd rumieni się na wspomnienie o nim i „przysięga, że go w sercu nosi.“ Ostatni to promień na schyłku życia dziada. Pokrzepi go, odmłodzi, lecz choć i on ją „dotąd pod siwym włosem ubóstwia“, choć znaleźć może u niej serce, przytulek i chleb gotów, a chleba mu już braknie ostatecznie nędzarz nie pójdzie do niej „aby lepszego obrazu z pamięci nie wyluzować.“ Zresztą — zaniemógł jakoś... Obok dzieci gospodyni huczą: „Jakie to wesołe! daj im Boże na zdrowie,“ a jemu nogi obrzękły, obówia, jeśli by było, ani wciągnąć, „w głowie się kręci, w ustach zasycha i oczy się kleją.“ Dziad usnąć musiał, by się już nie zbudzić.

Typ to przepysznie przez szanownego jubilata odmalowany w nowelli pod tytułem, „Z dziennika dziada“ jest z życia wziętym, ilustruje jeden z najelementarniejszych naszych społecznych niedostatków; nieuczciwość w stosunkach pieniężnych. Komukolwiek znanym jest stan tych stosunków u nas, ten wie na jak szeroką skalę praktykowanymi bywają nadużycia podobne tym, których ofiarą padł szlachetny „Dziad.“ Im wierzyciel bywa uczciwszy, im z większą ufnością i nieświadomością prawnych ostrożności, gotów zawierzyć całe swe mienie, w pocie czoła nieraz zebrane oszczędności, im zwłaszcza skromniejszą na świecie zajmuje posadę i w większym pozostaje cieniu, tem łatwiej znajdzie się krewny, przyjaciel, sąsiad, znajomy, czasem pan występujący w roli wierzyciela względem sług własnych, gotów do wyzyskiwania nieszczęsnego. Rzadko kiedy wprawdzie wyzyskanie to dokonaniem bywa z zamiarem z góry powziętym i obmyślanym. Następuje zwykle jako naturalna konieczność fatalnej lekkomyślności. Stan taki rzeczy podkopuje podstawowe warunki bytu każdego społeczeństwa, jest jedną z zasadniczych, a niedość chłostą opinii publicznej poskramiających przyczyn moralnego naszego upadku. Nie mogło to ujsć oka tak wytrawnego jak J. I. Kraszewski pisarza. Nie uszło też uwagi pani Elży Orzeszkowej śledzącej braki i potrzeby swego społeczeństwa. Taki

pan Przyborski (*Szara dola*) nie jest niestety! wyjątkiem. Często się u nas gnieźdzą panowie, wybornie w wyż przytoczonej nowelli opisani przez żyda, zasięgającego u Augusta Rolickiego prawnej porady.

„To taki pan,—żyd mówi,—że jak mu pieniędzy zapotrzebuję się, to on rzecz sprzedaną drugi raz komu innemu sprzedaje i pod sekretem z domu wywiezie, a pierwszego kupca z kwitkiem puszcza.“ Panowie ci „umieją wyszperać grosz gdzieby się go nikt inny nie domyślił,“ procentów po lat pięć i dłużej nie opłacają, dziwiąc się, gdy się kto o nie dopomina. Zbyt niejasne mają wyobrażenie o kapitale, jako źródle dochodów. Pieniądz przedstawia się im jako środek do użycia, a obliży na tysiące i dziesiątki tysięcy, i kartki, gdzie się cyfry obniżają do ułamków, jako barzo niewinny i niekosztowny sposób dostania gotówki, potrzebnej na „*parties de plaisir*“ i „*recherches de l'inconnu a.*“ Panowie ci wprawdzie długi swe „przyznają, najzupełniej przyznają wszystko“ ale „nie mają czem zapłacić.“ Wyznają to oni z niezachwianym spokojem, a co gorsza—zapożyczają się bez wahania z równie niezachwianym spokojem, wówczas nawet, gdy oddawna wiedzą dokumentnie, że nie będą mieli czem zapłacić... chociażby od własnego służącego zarwanej sumki. Czyż mówić o tem warto, „jaki tam kapitalik! Przez całe życie uciukanych nędznych pięćset rubli. Wartoż to było pracować i oszczędzać.“ Istotnie, dla takiego panicza—to jeden kęsek, jedna karta, jedna przyjemna chwila! Mniejsza z tem, że stary, sterany Żminda za nędzne te pięćset rubli spokojną miałby starość: dobry mu będzie świstek welinowego szpargalu, przyozdobiony wprawdzie szlachecką koroną, ale napisany niewyraźnie, z niewyraźniejszym jeszcze podpisem. Pośpiech zaś w pisaniu kartki będzie tak wielki, że nie będzie na niej daty żadnej.“

Mniejsza z tem, czy stary Żminda zejdzie na żebraka. Panicz jest przecie paniczem; musi mieć odpowiednie stanowisku swemu przyjemności; a gdy mu kredytu nie stanie, osiadzie na fartuszkach bezdzietnej ciotki, albo też złapie posażną dziedziczkę. Wówczas stojącemu w kruchcie kościelnej żebrakowi rzuci hojną jałmużnę. Hojność jest cechą charakterystyczną panów tych, co *dawać* lubią, tylko *oddać* nie umieją. Śmiały, uśmiechnięty w dalszą pójdzie drogę i nikt go pono, w oczy przynajmniej, nie nazwie należnym mu mianem.

Podobne nadużycia zdarzają się wszędzie wprawdzie, lecz u nas stały się najpowszedniejszymi. Składa się na to przyczyn wiele i są pomiędzy niemi takie, których w danym razie uchylić nie podobna. Idzie zatem o to, aby odróżnić przyczyny dające się uchylić od nie dających, i temi ostatniemi—jak to się zbyt często powtarza, nie zasłaniać zdrożności domagającej się, by jej prędzej położono tamę. Pracy trochę, trochę

ogłędności, mniej chęci błyszczenia, nieco godności osobistej, co powstrzymuje od upakarzającego zawsze, a równowagę moralną i finansową rujnującego pięcia się po nad stan i możność, nieco elementarnych zasad ekonomicznych i etycznych, poszanowania tak spuścizny jak dorobku godziwego, swego, a zatem i cudzego mienia, mogłyby nas powstrzymać na pochyłej drodze od hańbiącego upadku. Tym zaś panom, co na świstkach bez daty, w nieczytelne podpisy zaopatrzonych, mimochodem rzucanych w lewo i w prawo, szargają klejnot szachecki, czyż nie wypada przypomnieć, jakich obywatelskich odpowiedzialności klejnot ten bywał zadatkiem, i na jaką narażają go poniewierkę w podobny puszczać obieg?

Tuż obok tej niemocy, przeciw której bronić się powinniśmy i możemy, zjawia się inna, subtelniejsza lecz z poprzednią spokrewniona i częstokroć w parze chodząca. „Złota młodzież” jest epidemią grasującą pomiędzy rodową i nierodową szlachtą. Bywają tam różni: bywa książę Antos, co przyciśnięty długami żenić się raczy z panną Berlińską; bywa adwokat Maszko, mieszczanin z Przytyka, wyrabiający sobie w świecie klientelę malpowaniem tych panów; bywa Miś Rossowski, nie pojmujący „jak uczciwy człowiek może mieć zły akcent” i wąpiący „czy książę Antos osiągnie do końca alfabetu.” Bractwo to posiada kodeks dobrego tonu i szyku. Przy powitaniu panowie ci „lokują dłonie prawie tuż pod pachami i wyciągają palce, po które, kto chce, niech sobie sięga” a po za „Grandmondem” nie widzą świata bożego. Jeśli który z nich przypadkiem był w uniwersytecie, to przez cały czas kursów uganiał się za zaproszeniami na obiady i bale, eksploatował rodzicielskie stosunki i wyrabiał sobie nowe w eleganckim świecie, o koleżeńskim życiu niema żadnego wyobrażenia. Jadąc do domu na wakacje „wolałby umrzeć, niż siąść do innego wagonu, jak pierwszej klasy.” Taki panicz, a iluż takich widzimy codziennie! bywa w dwudziestym roku życia rozczarowanym z tych wszystkich czarów młodości, których nie poznał nawet z nazwiska, zepsutym cynikiem—a wygląda!... Dla niego kobiety dzielą się na ładne i szpetne „kanalijki.” Meżatki są specjalnie stworzone do intryg i kompromitowania, panny zaś nie istnieją poniżej z góry określonej cyfry posagowej. Dla niego miłość jest rozpustą, małżeństwo rachubą, nazwisko, którem się szczyli lub do którego się pnie po przez wszystkie stopnie upokorzeń i śmieszności, przedmiotem targu, idzie *au plus donant*. Typy złotych młodzieńców przez autora humoreski z teki Worszyłły, „Dwie drogi” żywcem pochwycone z *Grandmondu* byłyby karykaturami, gdyby nie ich idyotyczna, zdróżna obojętność na sprawy interesujące ogół i na krzywdy a szkody, które ogółowi i sprawom tym wyrządzają. Ludzie tej kategorii, z odziedziczoną od ojców ziemią naprzykład, czują się związani jeno tem, by

ratując „pałac i park“ nie należeli do kategorii „ludzi, którzy nie mając majątków ziemskich, są przecie naszymi bliźniami,“ jak mawiają panie Bujnickie i im podobne. To też gotowi są o każdej dobie ostatni prze-frymarczyć zagon. Krew uderzy wprawdzie do czoła takiemu Złotopolskiemu, gdy na szwedzkim okopie... ale, niech to nam lepiej opowie sam autor.

„W dolku wypłókanym od deszczów, na podścielisku wrzosów, leżała poźółkła od czasu czaszka. Słońce oblewało promieniami ten czerep zapewne jakiegoś sodalisa, który tu ongi gardło dał, chwając imię Maryi i mękę krwawego Chrystusa. Czerep spoglądał pustemi jamami oczu i na Jasia Złotopolskiego i na Misia Rossowskiego i na księcia Antosia. Rozwalona widocznie mieczem lub toporem kość ciemieniowa, okazywała czarne wnętrze pełne ziemi i zielska.

— *Après diné c'est un peu dégoutant,* — zauważył Maszko.

Jaś Złotopolski uśmiechnął się.

— Ciekawym, co niemcy zrobią z kośćmi, które tu znajdują. Ale (tu Złotopolski odwrócił się do Maszki) czy, okop objęty pomiarami, czy mój?

— *Nein, nein!* to nasz ma bycz! — zawołał nagle basowy głos za plecami Jasia!

.....Jansch z Wisemanem wdrapali się na osyp.

— A cóż wy z tem będziecie robić? spytał książe Antoś.

— Mi nie tacy głupi, aby pozwolili się marnować takiemu dobry plac. Tu będzie ogórki kwitnąć.

— To cmentarzysko dawne, tu pełno kości.....

— O!... O! — Zawołał pan Jansch spostrzegłszy czaszkę — prawda że tu jest kości. *Aber,* to będzie z nimi tak!

Tu pan Jansch kopnął silnie czaszkę sodalisa, która jęknawszy echem, potoczyła się na dół między wrzosy.

— Ha! ha! ha! twarda polska głowa. Tu będzie ogórek kwitnąć.

Zaśmiał się serdecznie pan Jansch, a pan Wiseman zaśmiał się jeszcze serdeczniej. Złotopolskiemu nagle krew uderzyła do głowy, a oczy zaświeciły jak węgle. Chwila jeszcze, a i pan Jansch byłby stoczył się z okopu w ślad za czaszką sodalisa, ale...” była to chwila tylko, jakiś przeblysk spowodowany burzeniem się krwi wskutek... atawizmu widocznie. Złotopolski potrzebował gotówki, poczciwych zaś nabywców polskiej ziemi Pan Bóg łaskawie stworzył na to, aby ratowali naszych szlachciców: „a kiedy ratują żywych, niech sobie kopią umarłych. *Honny soit qui mal y pense.*“ Ludzie bez „krwi,“ ludzie, którzy nie są ani „końmi follbluth,“ ani „baranami z rasy merynosów,“ jak ci panowie mianują siebie, ot tak sobie — pospolici chłopkowie, upominali, żeć to „ma-

zurska ziemia nie kolonistów.“ Co tam! Złotopolski, Rossowski, książę Antoś i adwokat Maszko lepiej się przecie muszą znać na tem.

Szkoda, że panowie tacy z zasady czytają tylko Zołę i Bellotów na przemian z panią Craven. Jeśliby czytawali po polsku, możeby obrzydzili sobie samych siebie przypatrzwszy się wiernemu i wszechstronnemu odbiciu swych postaci. Pod lekkim płaszczem komizmu, w jaki autor przyodził wstrętny ten gatunek, przeglądają w dosłownem znaczeniu okrzyczane dumasowskie *wibryony*. Nie trzeba szczególnego daru obserwacyi, aby w społeczeństwie naszym naliczyć sporo ludzi do tej kategorii należących. Epidemia zaczyna się wysoko; z przepelnionej coraz nowemi napływami czary *Grandmondu* rozlewa się i rozbryzguje po całym kraju, na wszystkich szczeblach tworząc mniej więcej udanych naśladowców. Występują oni wszędzie w wykwintnej roli wibryonów, znacząc przejście swe zamęceniem moralnego porządku; ten wyzuwa się z ojcowizny, tamten kochającą go matkę do grobu wtrąca. Z okopu szwedzkiego w szlacheckim Złotopolu zstąpmy, wraz z panią Orzeszkową, na bruk Onwilu i przypatrzmy się jej „Milordowi.“

(D. c. n.)

W szkole.

Opisując to zadanie szkoły wytworzył jakiś jednostkę, co się
 pod jej skrzydła schronił. ~~Wszystko to jest tylko~~
 społeczeństwa, jednakże są ludzemi, każdy z nich i musimy się przez
 jednostki, ale... Tymczasem chcąc być w indywidualności, aby taka jednostka
 była pojęta, chociaż x nie, co należy, może ten wstąpił, co x
 musimy na swój własny. W państwie, chociaż jednostka, dajmy mu
 tworzyć towarzyszywo, jednakże. Dajmy się do zwykłej wroty, który
 wpołniamy, co jest zadowolony, może być, co jest w tym momencie lub
 szkolna jednostka. Wskazać, jako to w tym momencie, może
 być na tem, że dajemy im, jak nauczyciel, chociaż jednostka, chociaż jest
 mniej się potrzebny, wspólnego działania. Co się przez rozwiązanie
 historycznych, matematycznych, jakichkolwiek, jakichkolwiek, jakichkolwiek, jakichkolwiek,
 unioł, to do tego, co jest, jakichkolwiek, jakichkolwiek, jakichkolwiek, jakichkolwiek,
 jest, jako jeżeli, jakichkolwiek, jakichkolwiek, może nie być, jakichkolwiek,
 przypatrzmy się, jako jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako,
 tam, w szkole, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako, jako,
 staj, wobec siebie, dostawione, i w tym momencie, może się okazać, że
 zwan, imieniem, które, które, które, które, które, które, które, które, które,
 nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj,
 powinno, one, być, takim, który, który, który, który, który, który, który,
 co, się, znajduje, w, tym, momencie, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj,
 niewychowawcy, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj, nie, tutaj,

NASI NOWELLIŚCI.

Szkic z współczesnego piśmiennictwa.

(Dalszy ciąg.—Patrz zeszyt 15^o)

„Na całą gubernię a może i na cały kraj, garncarzy takich jak Dyrkowie nie było; jak mawiała z powagą i nie bez pewnej dumy stara Dyrkowa, siedząc przed ogniem z wrzecionem w rękę, naprzeciw garbatej Ludwisi, służącej swej i powiernicy, w izbie prostej lecz której ściany przyozdobione były ścisłym i długim rzędem najrozmaitych wyrobów garncarskich. U nóg jej, zwinięty w kłęb olbrzymi, spoczywał wielki, czarny brytan, wierny i stary stróż domowy. Przędła i parzyła w ogień. Wzrok jej był nieruchomy i zamysłony, ale po ustach wiły się uśmiechy miłych jakichś myśli. Wrzeciono warczało zcicha, za oknami szumiały drzewa.

„— No—po długim milczeniu ozwała się stara kobieta—książe nasz chyba już dziś nie przyjedzie.“

Ów „książe“ przez starą matkę z takim utęschnieniem od dwóch już przeszło tygodni oczekiwany, to syn jej Rajmund, „Rajek“ jak nań pieścotliwie wołać zwykła, najmłodszy, jedyny pozostały po odumaryłych wcześniej braciach, dziedzic imienia i funduszu Dyrków. Fundusz to nielada! Cuda o nim w mieście prawiono, tylko go, chociażby w przybliżeniu, cyfrą nie umiano określić: raz, że likwidacya funduszków grosz po groszu zbieranych łatwą nie jest, powtóre, że stary Mateusz Dyrko, ostatni z rodu swego garncarz, z bogactw swych zwierzył się umierając jednej tylko swej żonie. To też Rajek był sobie teraz „Pan całą gębą,

a panowie mają co innego do roboty, jak do matek starych i prostaczek jeździć wciąż i jeździć..... Zalecać im się trzeba, komplementy mówić, grać na fortepianie, za sprawunkami chodzić..... dziwne dziwy i facecye!... a paniątkom takim duszno byłoby i niezdrowo w starych izbach-tych, w których po hodowali się ojciec ich i dziadowie.... pracowali, harowali i synków swych na pracowanie i nowe harowanie hodowali... Długo tak było, długo, aż i skończyło się przezemie, —mówi Dyrkowa—bo ja niechciałam, żeby mój Rajmundek garnki lepiał... Żebym była wyszła za Andrzeja Rąbskiego, zostałabym szlachcianką i syn mój byłby szlachcicem; a kiedy już tak stało się, że na całe życie moje zostałam na dole, niechże dziecko moje przynajmniej w górę pójdzie!... Powiedziałam sobie, że kiedy syn mój ma już być Dyrko, to niechże będzie Dyrko pan, nie garncarz.“

Szedł też „książe“ w górę, szedł: posiadał parę dzielnych karoszy, kabriolet latem, sanie zimą, woźnicę w liberyi, wyrostka do usług w strzeleckiej kurcie, psy cetera i szpicka „z błękitną kokardą pomiędzy spiczastemi uszkami.“ A że uprzejmy był i hojny, posiadał nadto huk przyjaciół „którzy wszyscy nosili nazwiska w bliższym lub dalszym stosunku zostające z herbarzami i herbami.“ To też trywialne nazwisko „Dyrko“ było dla niego srogim umartwieniem, dokąd przyjaciele, trochę przez drwiny, trochę dla eleganckiej, wysmukłej jego postaci, prawidłowo odzianaj w *sortie de l'hôpital* i długich jasno płowych bokobrodów, okalających twarz białą i ściągłą, o błękitnych oczach „czasem marzących lub zupełnie w dobrym tonie znudzonych,“ nie przezwali go *milorde*m. Odtąd „zachwycił się tak świetnością swoją, że nazwisko jego wydało mu się ozłoconem przez nią i wysoce uszlachetnionem.“ Odtąd nie było wielkości o jakiejby nie zamarzył, nie było zbytku na jakiby sobie nie pozwolił, ciągnąć gotówkę z tajemniczego kufra do ubóstwienia kochającej go matki. I co raz więcej „w górę“ szedł Rajek, tylko jednocześnie co raz niżej schodziła Dyrkowa, i gdy jedni mówili: „co to za matka!“, rozumny przyjaciel Andrzej Rębski odpowiadał: „głupia matka, potem zaś ciczey i dla siebie tylko dodawał: Biedna matka.“ Istotnie z oszczędnej stała się skąpą, odmawiała sobie i Ludwisi niezbędnych wygód, strawę od ust odrywała; „głos jej silny prawie i dźwięczny niedawno, tak osłabł i przycichł, że zagłuszyło go niemal warczenie motowidła... i postarzała tak raptem.“ Jedyną jej pociechą było, gdy ją jej „książe“, jej „anioł“ całował od czasu do czasu po rękach, nazywając „dobrą, złotą, kochaną mamcią.“ Nie był to zły chłopiec ten Rajek, tylko złemi przesiąkły narowami: był samolubem aż wstrętnym, bo gdy zrujnowany, zadłużony wrócił z zagranicy, nie spostrzegł zmiany w twarzy pogębnionej matki, nie rachował słów,

skarg i narzekañ, z których każde zadawało jej cios śmiertelny. Pieniędzy potrzeba mu było, pieniądze, pieniądze!

— Idź synku, szukaj!—ledwie dosłyszalnie rzekła kobieta.

— A klucze?

„Dziwny uśmiech przewiñął się po ustach jej białych i kurczowo ściagniętych.

— Nie zamknięte!—rzekła

Milord poskoczył do sypialni matki swej i poczał tam otwierać skrzynie jedną po drugiej. Wszystkie były puste... Milord długo bawił w izbie ze skrzyniami. Przejrzał wszystkie kątki jej, zagłądał do kilku pustych worków, szukał w zeszczipłej dziwnie matczynej pościeli... Nie znalazł! Z ust posypały mu się wymówki rozdzierające serce matki, a gdy „po izbie rozległ się krzyk piersi, w której z bólem okropnym pękały struny życia, Milord tak był pochłonięty rozpaczą własną, że na krzyk ten nie zważał nawet.“

Milord, z rzadką plastyką, a z równie rzadką znajomością procesów psychicznych i związków zachodzących pomiędzy przyczynami i skutkami, w typ zakłęty przez panią Orzeszkową, tem prawdziwszym jest typem, że Rajek nie jest na wsrós czarnym charakterem. Rajka broń poniekąd przed spaść mającą na samoluba kłatwą, bałwochwalcza miłość matki, co go popycha zamiast powstrzymać na fatalnej pochyłości. To też autorka na zakończenie pięknej nowelli wkłada w usta Andrzeja Rębskiego znaczenia pełne wyrazy:

„— Ty jeden tylko, o Wszechwiedzący! rozsądzić możesz, kto z dwojga tych nieszczęśliwych katem był a kto ofiarą.“ W każdym razie Milord, jeśli jest z jednej strony ofiarą bałwochwalcstwa matki swej, z drugiej grzeszy rozwielniożnością w społeczeństwie naszym lekkomyślnością i uchylaniem się dobrowolnem od tego wszystkiego, co lekkomyślność tę sposzyć może i powinno. Wyższość rozumiejąc nie w zasługach, które stanowią takową, lecz w polysku, bardzo naturalną koleją rzeczy spaść musiał nisko. Pożyczone pióra przed słońcą człowieka ochronić nie zdołają, a przy jasnej pogodzie strojącego się w nie ośmieszyć muszą. Między synem garncarza, ubolewającym nad trywiałem nazwiskiem Dyrko, i szczytującym się na żart danem mu przezwiskiem „Milorda“, a szlachcicem chcącym gwałtem przypiąć sobie tytuł hrabiowski, pokrywająca obie śmieszność i upokarzający brak istotnej dumy ścierają wszelkie demarkacyjne linie, jakie zkadnąd między małomieszczaninem a rodowym szlachcicem istnieć mogą. Jak ten tak i tamten wyższość rozumieją tylko w blasku—mniejsza z tem w jakim, chociażby w pożyczanym, i jednego drwiny przyjaciół, drugiego usłużność loków zaślepiają i utwierdzają w mniemaniu wielkości. Jak ten tak i tam-

ten pojęcia nie mają niestety! o pobudkach takiej natury jak te, któremi się powodował naprzykład Andrzej Rębski, a które sam tak Dyrkowej opowiadał:

„Ani ja święty, ani ja waryat, tylko człowiek, i mam w sobie ludzkie myśli, chęci i uczucia. Kiedy młody byłem, miałem towarzyszy takich samych jak ja. Szlachcice byliśmy wszyscy, nieubodzy i z trochę nauki w głowie. A kiedy przyszło nam w świat wyruszyć, zapytaliśmy siebie: co my na świecie robić będziemy? A potem: co też na świecie najpilniejszego do roboty? I rozeszliśmy się po kraju aby powinność naszą pehnić. Taki był wtedy duch czasu, takie ambicje i żądania rosły w sercach młodzieńców. Ślubowaliśmy sobie miłość dla ludzkości cierpiącej a srogość dla samych siebie. Srogość i czystość! Jedni dotrzymani ślubów swych po koniec życia, drudzy łamali je pierwej czy później, ale powiadam ja jejmości, że ci nawet, którzy przez ułomność natury ludzkiej złamali je, szczęśliwi byli, bo raz w życiu przynajmniej w sercu swem Boga mieli, i raz chociaż świeciło przed nimi słońce wielkiego celu.“

Otóż słońce „wielkiego celu“ nie mogło przyświecać Dyrkom, bo się na takie blaski patrzyć nie nauczyli, a Złotopolskim, bo patrzeć się na nie zapomnieli. Kto z dwojga winniejszy, czyj upadek bardziej hanbiący?... Iwaszkiewicz („Dwie drogi“) tegoż samego może co Rajmund Dyrko pochodzenia, lecz nauką i wykształceniem postawiony na moralnym szczeblu, z kąd wszystkim stojącym na nim, jakiegokolwiek było ich pochodzenie, jednostajne świecą blaski, dystansue Jasia Złotopolskiego na każdej drodze, ba! nawet w sercu Fanny Bujnickiej, pomimo nauk światowej mamy. Dla czego? Jaś musiał posiadać przecie w powierzchowności samej, w polarze światowym pewne zalety, na których zbywało Iwaszkiewiczowi. Dla czego? Może dla tego „że wytrwałość panna Iwaszkiewiczza nauczyła Fanny wierzyć, że najniepodobniejsze rzeczy stać się mogą“ dla tego może „że słowa jego choć równie w dobrym tonie, jak słowa innych panów—miały przecie pewien sens i znaczenie.“ I dla tego może, że w jego pulsach płynęła krew żywa i w piersiach żywe biło serce, że był człowiekiem nie zaś tylko złotym młodzieńcem.... a i dla tego może, że jednocześnie Fanny z Iwaszkiewiczem, a mama jej ze Złotopolskim, takie toczyły rozmowy.

„— Czy pan zyskuje na oddaleniu obcych (robotników z fabryki)? pytała Fanny Iwaszkiewiczza.

— Ja—nie! z początku tracę.

— Więc któż na tem zyskuje?

— Ogół.

— Więc pan istotnie zyskał na kolonizacyi?—pytała pani Bujnicka.

— Ja zyskałem bardzo wiele.

— Czyżby kto stracił?

— Ogół!—powtórzył przechylając się ku Fanny Iwaskiewicz, zanim Złotopolski zdołał powtórzyć, że jego zdaniem stracili koloniści.

Ogół! w tem to rzecz. Od ogółu bezkarnie nikt się nie odłącza, a ogół nic nie ma wspólnego ze *złotemi młodzieńcami* czystej i nie czystej wody. Co powie taki wykwinny panicz, nie mający wprawdzie wyobrażenia o zasadach warunkujących uczciwość i obowiązki tak społeczne jak osobiste, ale uważający się za coś nieskończenie wyższego od zwykłych śmiertelników,—co powie, gdy usłyszy, że go krok jeden dzieli od najpospolitszego zbrodniarza, że między salonem i ławą oskarżonych w sądzie, nie tak głębokie i dalekie, jakby się zrazu zdawać mogło, istnieją przedziały? A jednak wszak wyperfumowany, wyfryzowany Julek Kaliński („*Stracony*“ El. Orzeszkowa)rodzonym bratem tego Romana, co w głębi wilgotnego więziennego dziedzińca, otaczającym go złoczyńcom, zaciągniętym w najniższych warstwach towarzyskich taką głosi filozofią życia:

„— Świat, to huśtawkawa, na której człowiek kołysze się i to podłeci wysoko, to spadnie nisko. Taki, co sznury od huśtawki mocno w garści trzyma, nie upadnie nosem w kałużę, ale puść tylko huśtawkę na wolę wiatrów... polecisz w dół jak piłka i stłuczysz się na taką miazgę, że cię i rodzona matka kiedyś nie pozna!“

„— Dyabelny,—ozwał się któryś z łotrów,—musiał być wiatr, kiedy taki panicz jak ty, spadł z tej huśtawki i wpadł tutaj.

„— Wiatr,—odrzekł Kaliński,—taki był, jak bywa zawsze na całym świecie, ale nie umiałem sznurów w garści trzymać.“

Dla czego Kaliński nie umiał sznurów w garści trzymać? Dla czego z dwóch tych jednostajnie wychowanych, czyli raczej niewychowanych młodzieńców, jeden zostaje na pozór nieszkodliwą lalką, w rzeczy samej wstrętnym *wibryonem*, drugi spada aż tam w ten Ereb, w którym przemieszkują duchy potępione, do jakich on stanowczo zaliny został. Szedł ku Erebowi temu wyprostowany, hardy i wciąż śpiewał, a bezładne tony jarmarcznej pieśni wybuchały z piersi jego jeden po drugim, zdając się ścigać wzajem i pochłaniać w szalonym pędzie, w zawrotnych skokach pijanej wesołości... aż rozległ się śpiew ten wśród murów więziennych przeciągły, nabrzmiały ogromnem łkaniem, przeraźliwy jak jęk, srebrny jak dzwonek ręką kościelnego sługi poruszany przy łożach śmierci....

„....A mnie się zdało (kończy opowiadanie prawnik Rolicki), że usłyszałem wielki krzyk pożegnania, który po za mury więzienne rzucił światu człowiek—stracony.“

Dla czego ów stracony, tak nisko, nisko upadły, budzi w czytelniku o wiele gorętszą sympatyą, od wyfryzowanego, konwencyonalnie uczciwego Julka? Czyżby na obudzenie sympatii tej składały się tylko te uczucia, które każda niedola budzi, tem żywsze, im większa bywa niedola, i te farby kompozycji i stylu któremi autorka tak hojnie obrzuciła stracone to dziecko? Byłoby to za mało istotnie! Farby podobne, zbyt umiejętnie używane przez utalentowanych pisarzy, bywają nieraz złotą szalą, pod którą kryją się pustki lub wszeteczeństwa. Ale pani Orzeszkowa zbyt tu dobrze pojęła posłannictwo talentu, i jej *Stracony* budzi w nas sympatyę nie dla tego, że popełnił zbrodnię i za takową ponosi karę, ale dla tego, że widzimy w nim ofiarę „nie swoich grzechów;“ dla tego, że go zaledwie nauczono czytać i paplać po francuzku; dla tego że „Julek mógł całemi godzinami siedzieć przed lustrem albo leżeć do góry brzuchem i, jak mu nikt nie przeszkadzał regularnie ufryzować włosy, jak miał smaczny obiad i mógł wyspać się dobrze po obiedzie a wieczorem poumizgać się do dziewcząt, to był już najszczęśliwszym;“ a on—posłuchajmy jak się przed prawnikiem spowiada:

„....We mnie siedział zawsze jakiś szatan—mówi—i rzucał mię na wszystkie strony. Jak tylko bywało położyę się, albo siadę, taka mię ogarnia nuda, że poszedłbym choć do piekła, byle tylko gdzieś iść, czegoś słuchać, na coś patrzeć, choćby palić się w smole piekielnej, byle tylko coś czuć“...

Dla tej organizacyi wrażliwej, nerwowej, bogatej, potrzebniejszy był rozumny kierunek niż dla maślanego Julka. Wyobraźnia jego, zdolności, zalety potrzebowały zostać zwrócone ku wielkim lub uczciwym celom. Nie ma społeczeństwa, w którym domowe wychowanie i wpływy, nie odgrywałyby w losach człowieka przeważnej roli, lecz już u nas, w obecnej chwili rola, ta potęguje się do nieskończoności niemal... Gdy po za rodziną tak wielki czuć się daje brak prądów, kędy stosowne dla siebie ujście znaleźćby mogły wrodzone a zaniedbane zdolności; gdy tak szczupły jest przystęp do tych dróg, któreby wrodzony popęd do czynu rozwijać normalnie mogły, na wychowawców młodzieży spada tem cięższy obowiązek wpojenia w nich zasad i wiadomości potrzebnych na to „by sznury od huśtawki życia w silnej garści“ utrzymać zdołali. Dom rodzicielski staje się naturalną szkołą, a tymczasem—jakiż to był dom Kalińskich, zamożnych wiejskich obywateli „— Nudziłem się, proszę pana, w domu tak, że mi życie było nie

mię, — mówi Roman Kaliński. — Bo co też tam panie za życie? Ojciec albo poluje po całych dniach i tygodniach, albo drzemie i fajkę pali, albo z sąsiadami gra w preferansa; matki i starszej siostry nigdy w domu niema: jeżdżą po sąsiedztwie i do krewnych, których mamy huk wielki. Julek sypia do 12, potem fryzuje się, perfumuje i jedzie tam, gdzie są bogate panny: „bo on — proszę pana — chce bogato ożenić się.“ Młodsza siostra Jadwisia, dobra dziewczyna, ale przy guwernantce jeszcze; pół dnia dudni na fortepianie a drugie pół dnia razem ze swoją guwernantką romanse czyta.“ Możnaż się dziwić, że młodzieniec gorący, którego wszystkie władze rwą się do życia czynnego, z takiego domu ucieka? Gdzie? — tam gdzie uciec najłatwiej: do miasteczka sąsiedniego. Hula. Z kim? — Z synami ekonomów i drobnymi kancelistami. Robi długi, których rodzice płacić nie chcą, i żadnem, chociażby tylko serdecznem słowem, nie zawrócony ze złej drogi, huśtawkę życia puszcza na wolę wiatrów — namiętności. Cóż dziwnego, że raz spadłszy w kałużę, rozmiażdża się w zbrodni nieumyślnej, popełnionej w uniesieniu „z trafu,“ bo, — jak przez usta Rolickiego mówi autorka, — każdy człowiek żyjący tak jak on żył, może nie popełnić zbrodni tak, jak może ją popełnić. Kula staczająca się z pochyłości może nie wpaść w przepaść, tak jak może w nią wpaść. Zależy to już wyłącznie od wypadku: od tego, czy wśród drogi, którą przebywa, znajduje się rozdół albo nie znajduje; jeżeli jednak znajduje się, stanąć nad krawędzią jego ona nie może i, niesiona siłą rozpędu, musi być posłuszną przypadłościom drogi, którą przebywać zaczęła.

Genealogia zbrodni młodego Kalińskiego ułożyła się w myśli mej porządkiem następującym. Tam, gdzie jest natura ognista, żądz i namiętności pełna a niema woli, rozumu i czynnej działalności ku dobrze określonym skierowanej celom, tam musi być życie burzliwe, niesforne i nieporządne; gdzie życie jest nieporządne — muszą być orgie, gdzie są orgie — muszą być spory i kłótnie, a gdzie są spory i kłótnie — zabójstwo być może. Gdyby laska nie miała na sobie żelaznego nagłówka, wypadek cały byłby tylko — karczemną burdą. Nie ten przecież kawał metalu spowodował zbrodnię, ale nastrój, miejsce i towarzystwo umożliwiające, z konieczności niejako wywołujące — burdę. A dalej „...miał on tylko lat 19! Nieprzeliczone skarby uczuć i myśli drzemały w kipiącej jego piersi, w bystrym i pojętym jego umyśle. Niezużyte siły żywotne bujnej, sprężystej i gorącej jego organizacyi, szukając dla siebie ujścia, szamotały nim dotąd jak wichur wiotką gałęzią drzewa; ale któż mógł zaprzeczyć na pewno, że kochającą i umiejętną dłonią, na prawidłowy szlak skierowane, nie mogły one popłynąć pięknym, szerokim, potężnym, dobroczynnym strumieniem?....“

„.....Teraz wszystko to było stracone na zawsze...

„.....Wysłuchałem szczerzej i głębokiej spowiedzi jego ducha, byłem w domu, w którym rozwijało się dzieciństwo i pierwsza młodość jego, wiedziałem więc dobrze, jakie to były dłonie te, które tak okrutnie zbrudziły i splątały pasmo jego życia, która z dłoni tych, i o ile, należała do natury, a która do ludzi. Wielkie oburzenie człowieka i srogi gniew obywatela powstały we mnie ku tym bezrozumnym i występnyim rodzicom, którzy trawiać cały czas swój na płochych igraszkach, zasłepieni przesądem, próżni wszelkiej prawdziwej wiedzy i wszelkiego wysokiego uczucia, nie potrafili zbadać i poznać natury syna swego, nie dali gruntu stopom jego, mocy sercu, światła umysłowi, oręza rękom, hamulca i kierunku namiętnościom. Byli to bezwiedni zbrodniarze, bez woli i zamiaru zabijający człowieka, zdrajcy kraju, odbierający mu dzielnego może syna jego“....

Dyrkowa popycha syna na drogi lekkomyślności zbytkiem macierzyńskiej, bałwochwalczej miłości; Kalińscy popychają syna na drogi występku nie tylko już lekkomyślnością swą, lecz nadto brakiem rodzicielskiej tkliwości. Stara Dyrkowa na śmiertelnem łożu, w obłądnie gorączki śpiewająca kołysanki swemu „Rajkowi,“ budzi w potępiającym jej grzeszną słabość czytelnika olbrzymie współczucie, zostaje postacią matki bolesnej, koncepcją poetyczną i wysoce liryczną. Kalińska, pędząca w sąsiedztwo w godzinę po rozmowie swej z prawnikiem, budzi wstręt. Czy Kalińska mniej jest prawdziwą od Dyrkowej? Niech się nieuprzedzony czytelnik rozejrzy do koła, a niestety, zbyt wiele naliczy takich jak Kalińscy rodziców.

Im głębiej wnikamy w jakiś ustrój składowej fizycznej natury, tem więcej napotykamy pierwiastków, które nas z razu nie uderzały, a które tem niemniej w ekonomii układu równie ważną odgrywają rolę, jak odrazu widzialne: kształt, barwa i objętość. Toż samo powtarza się z moralnym ustrojem noszącym ogólną nazwę etyki. Im głębiej wnikamy w jego naturę, tem subtelniejsze, zawilsze napotykamy pierwiastki, ściśle złączone z temi podstawowemi pierwiastkami, jakie się najmniej bacznym obserwatorom rzucają w oczy, jako to: uczciwość w stosunkach pieniężnych, obowiązki dzieci względem rodziców, rodziców względem dzieci, solidarność zachodząca pomiędzy obywatelem kraju i kęsem odziedziczonej przezeń ziemi i t. d. Serce naprzykład rodzicielskie, zdolne ukochać własne dziecko, nie może pozostać obojętnem na *Sierocą dołą* (Prus). Ubolewanie nad taką niedolą należy do najpospolitszych, służy za temat częściej deklamacyi, pustego sentymentalizmu i chwilowych uniesień wspaniałomyślności. Współczucie dla sierot i śpieszenie im z pomocą bywa pozą u takich państwa Karolostwa, adoptujących sierotę

Jasia z emfazą za syna i wkrótce adoptowane swe dziecię oddalających z domu dla umieszczenia u krawca najnieosobliwszej opinii. Bywa też miłosiernem wyzyskiwaniem u takich państwa Piotrostwa, zwałających tumult pracy na barki biednej wdowy „tak po prostu—dla rozerwania myśli,“ a obdartego, bosego sierotę oskarżających o „wiele wad szkaradnych.“ Bywa obojętnością u zaczytanej w romansach pani Anzelmo-wej, pocziwem drgnięciem serca u niepraktycznego pana Anzelma. Wogóle na opiekunach sierotom nie zbywa, a jednak gorzka to ta sieroca dola, niby na pajęczej nici zawisła na zmiennem miłosierdziu ludzkim i na tej nadziei, co serca strapione wiąże het! z wysokiem niebem.... To też po rozstaniu się z państwem Anzelmostwem wdowa Wincentowa z sierotą Jasiem „pozostali sami, mając do koła siebie pola okryte wędniejącym ścierniem i pajęczyną zasnute, a nad sobą miłosiernego Boga, bez którego woli nie zerwie się ani wążła sieć pajęcza, ani wątlesze od niej nici ludziego szczęścia.“ Ale że to chociaż „nie na to człowiek żyje aby jadł, ale na to je aby żył,“ pani Wincentowa w Warszawie mało jadła a pracowała ciężko, gdy „po długiej dreptaniu i wielu upokorzeniach, i po zjedzeniu zapasów i wydaniu pieniędzy na wsi zaoszczędzonych, udało się niebodze wynaleźć kilka rodzin, które jej robotę do szycia powierzały,“ więc się i zerwała pajęcza sieć jej życia, i biedny Jaś oderwany od zwłok matki dostał się do państwa Karolostwa. „Pan Karol, wysoki, przystojny brunet, średniego wieku, był o tyle majątnym, że z procentu od kapitałów pomieszczonych w papierach publicznych mógł utrzymać przyzwoicie swoją rodzinę, używać drobnych przyjemności, pomagać ludziom i jeszcze coś z dochodów odłożyć. Jako jednostka moralna, pan Karol był uosobioną miłością. Kochał on rodzinę, społeczeństwo, naturę i sztukę, a prócz tego, na tak szerokiem tle miłości umiał entuzyazmować się do przedmiotów pojedynczych. W ciągu jednego tygodnia pragnął założyć wzorowe pismo, następnie gotów był pomódz jakiejś ubogiej rodzinie, a później znowu—częścią swego majątku przyczynić się do zaprowadzenia kanalizacji w mieście. Za każdym razem entuzyazm jego szybko wznosił się do wyżyn a następnie zwolna opadał.“ Jaś został ofiarą tej pospolitej u nas właściwości: szybkiego entuzyazmu i równie szybkiego ochłonięcia z zapalu. Na nim to moralni synowie moralnego pana Karola: Edzio i Tadzio, doświadczali swoich pedagogicznych zdolności. „Widujemy—mówi autor—rodziców, którzy dzieciom swoim dają kotki i pieski do zabawy. Niekiedy wśród pieszczoł dziecięcych kotkowi oczy i język na wierzch wyłażą, ale—to nic nie szkodzi. Kotek się nie skarży, a choćby się i skarżył, któż mu da wiarę? Lecz jeżeli kotek udrapie swego małego wychowawcę.... Ale o tem później.“

„.....Zdarza się, że robak schwytyany przez dziecko traci na chwile przytomność i zachowuje się tak jak rzecz martwa. Dopiero gdy go wsadzą na szpilkę, poczyną się więc—i usiłuje kąsać. Jaś już się wił. Słabszy charakter, w jego położeniu uległby i do śmierci pozostał zabawką dzieci i dorosłych. Jaś nie uległ, i to do zgubiło.“ Oddano go na naukę do krawca pana Kalasantego Durskiego. Upijał się Durski, upijała się Durska, upijać się im pomagał czeladnik i ulubieniec Durskiej Jędrus, nienawidzili Jasia „za ambitność“ terminatorzy, a przy pierwszej zrzeczności posadzili i oskarżyli o kradzież, popełnioną w rzeczy samej przez Jędrusia. Jaś ratuje się ucieczką, na oślep, szaloną; biegnie „sam nie wiedząc gdzie. Zdawało mu się, że ulice, sanki, ludzie i niebo nawet uciekają przed nim. Dotknięty zarzutem okropnej zbrodni, czuł swoje niewinność, a mimo to wstydzil się, lękał i rozpaczał.“ Biedne dziecko!

Gdzieindziej, mówiąc o artystycznych zaletach utworów literackich, o których tu mowa, przypatrzmy się bliżej tej ucieczce Jasia. Jestto ciąg artystycznych piękności, tak pod względem pomysłu jak i wykonania. Tu, gdy o etykę nam idzie, zanotować wypada, że czarnego obrotu sierocej doli, autor zbyt czarnym nie uczynił. Tu i owdzie rzucił przebliski tych jasnych promieni, z których zawsze jakaś cząstka oderwana u ogniska życia przedrzeć się musi przez najgęstsze chociażby mgły i chociażby niklem światelkiem rozwidni najczarniejsze nawet zakątki ludzkiej doli. Jaś był szczęśliwym na wsi u pana Anzelma. W chwili tęsknoty za wsią, żalu po matce, żalu do swego chlebodawcy, moralnego pana Karola i do jego synów Edzia i Tadzia, napisał list do pana Anzelma. Pan Anzelm, po otrzymaniu listu i chwilowem wahaniu, powolny na głos serca, sprzedaje parę cugowych koni, by pośpieszyć z pomocą Jasiowi. A i odchodzącemu od państwa Karolostwa do krawca dziecku, kucharka wsuwa w kieszeń kilka dziesiątek i szepcze:

„— Bywaj zdrów, moje dziecko!... Może się tam ludzie lepiej na tobie poznają.“

„— Tak! tak! mówiła dalej. Dobrze z ciebie dziecko i zdolne, tylko zwyczajnie—sierota.“

Poznał się istotnie na sierocie pan Panewka, starszy czeladnik, który „pracował okrutnie i utrzymywał warsztat Durskiego.... Nie miał ani rozumu, ani ukształcenia,—lecz jakiś dziwny instynkt, który go popychał do sympatyzowania i naśladowania tych, których uważał za doskonałych od siebie.... I na tej to nierozwiniętej a tak gwałtownie wydzierającej się ku lepszemu duszy, sierota zrobił ogromne wrażenie.“ Cały stosunek Panewki do Jasia dowodzi, że autor nie tylko zbadał i wiernie oddać umiał psychiczne właściwości serca, ale że nadto pod-

niósł one do ogólnej zasady, wskazując niezaprzeczony urok, jaki wywiera wyższość umysłowa, a zwłaszcza moralna. Choć gruby Panewka ani wie „jakie przymioty chłopca czyniły go tak sympatycznym,“ na pierwsze słowa Jasia o tych, co „wszystko dobrze robili,“ uczuwa pewien niepokój, a „błyskawica oświeciła mu ciemny umysł“ gdy spostrzeżga, że Jaś „co wytarguje na mięsie, to majstrowej oddaje.“ Przecież, co w jatce utargujesz, to twoje,—mówi do Jasia.

— Co to, to chyba nie!—odpowiedział Jaś.—Jeżeli się tylko kryć z czem potrzeba, to już źle.

Panewka oparł wielką swoją głowę na rękach i po długim milczeniu, zapytał:

— No, a jeśli kto brał tak: guziki, igły, nici, albo kawałek aksamitu,—to także źle?

— Rozumie się! przecież to złodziejstwo.

...Co ci z tego przyjdzie że majstrowi jakiś tam kawałek podszewczyny zastanie?

— Będę wiedział o tem, że robię dobrze.... Niech tam sobie inni gadają co chcą!

Nowa błyskawica oślniła Panewkę. Do tej pory sądził on, że tylko to jest dobre, co ludzie chwala; teraz poznał, że nad opinią ludzką istnieje wyższy probierz: własne przekonanie o dobrem“.... A potem uczy się czytać, pisać u Jasia, jak niegdyś uczył się upijać i mieć w przysłowiu „panie“ od Durskiego. Sympatya jego dla sieroty powoli zamieniła się w fanatyczne i nieograniczone przywiązanie... „Panewka podobny był do człowieka, który, mieszkając od urodzenia w ciemnicy, tęsknił do światła; Jaś znowu był iskrą, która choć w części zaspokoila jego tęsknotę.... Szachetnej tej duszy brakowało jednak samodzielności. Czeladnik zdolny był do wszelkiego zaparcia się, do najwznioślejszych poświęceń, ale tylko przy Jasiu... Gdyby Jasia kiedykolwiek zabrakło, biedak ten pograżyłby się znowu w ciemności, tem straszliwszej, że towarzyszyłyby jej inne wspomnienia i świadoma tęsknota za lepszem.“ Jakoż autor wierny logicznemu rozwojowi charakteru i sytuacji, każe Panewce biedz za powozem uwożącym odnalezionego przez pana Anzelma Jasia i woła:

„— Jasiu! Jasiu!

„Nagle karetka ruszyła pędzej, Panewka stracił siły i, zziębnięty, zrozpaczony, stanął i patrzył już tylko na oddalający się powóz. Potem z wolna przelażł przez kratę i zbliżył się do poręczy mostu.

— Nawet nie spojrzal na mnie—szepnął rozżalony.

„W tej chwili, stojący na brzegu Wisły ujrzeli, jak jakiś czarny

przedmiot wychylił się za baryerę, a następnie—z ogromną szybkością runął w wodę“....

Gdy dodamy, że Panewka przez dni kilka szukał z rozpaczą po Warszawie Jasia, że straciwszy nadzieję znalezienia go „zaczął straszliwie pić,“ że był opitym, gdy się dowiedział o odnalezieniu sieroty, nie będziemy nic mieli do zarzucenia tej konkluzji autora i zgodzimy się z nim chyba na to, że: „był to człowiek bez ratunku zgubiony; wielka miłość do Jasia podniosła go nad zwykły poziom, ucieczka zaś sieroty zepchnęła w przepaść, z której cudem tylko mógł się wydobyć... A cud ten wisiał na włosku.“ Włosek się zerwał a z nim—i życie Panewki.

Jak widzieliśmy w „Sierocej doli,“ pospolite w towarzystwach ucylizowanych, instynktowe współczucie, popycha ludzi do zajęcia się losem sieroty; rzadko kto poczuciu temu uchybia świadomie. Cała też ta tak prawdziwa niestety! sieroca niedola, nie była spowodowaną świadomą złośliwością, ale brakiem wytrwania a umiejętnego wywiązania się z obowiązku przyjętego na się pod naciskiem chwilowego rozrzewnienia; brakiem tego, na czem najczęściej najlepszym wśród nas zbywa i czem nie jedni rzekomi moralisci gardzą: brakiem wiedzy i wiary kryształizującej w zasady rozbite pyłki szlachetnych leez nikłych wzruszeń serca. „Panewka także—kończy autor—był sierotą, mniej szczęśliwym od innych.“

Więc sierota, którego dolę oglądaliśmy dopiero w całej nagości życiowej prawdy, był stosunkowo szczęśliwym? Istotnie: pierwiastkowe wychowanie, ciepło rodzinnego ogniska, nauki i pieczyoty matki wlały weń strumień wewnętrzznego, od zewnętrznych losów w części tylko już zależnego szczęścia: zarodek cnót, zasad i pewną siłę moralną na przeciwstawienie niedoli. Ogromna to już, jak widzieliśmy, wygrana! Panewka zaś „przed dwudziestu kilkoma laty spadł z deszczem około szpitala Dzieciątka Jezus.“ Nie samo już społeczeństwo zawiniło względem niego, odmawiając mu opieki; winni tu byli przedewszystkiem rodzice. Czy obojga stopień winy jednakowy i czy na obojga jednostajna spadła odpowiedzialność, tu już inna kwestya. Obyczaj i opinia publiczna, cały ciężar winy i jej następstw zwykły zrzucić na matkę. Ciężar ten, dołączony do innych ciężarów ugniatających niewyzwołąną prawnie i umysłowo kobietę, w niwecz niszczy nieszczęsną ofiarę. Spólnik winy pozostaje na zawsze w ukryciu, oskarżany zaledwie o grzech powszedni. Dla myśliciela głębiej wnikającego w istotę rzeczy i dla tego, kto sercem otwartem na słabości i nędze ludzi zwykł mierzyć potępienia wyroki, rzeczy te przedstawiają się inaczej. Po jednej stronie widzimy kobietę, młodą zwykle, w zaranku życia i serca, nieświadomą jeszcze, nie wychowaną wcale lub wychowaną w sposób nie dający jej

najlżejszego chociażby wyobrażenia o tej olbrzymiej odpowiedzialności, jaka ciąży na matce, ani o pośrednich i bezpośrednich stratach, jakie dla dwóch jednostek: dla niej i dla jej dziecka, jako też dla ogółu, wyniknąć mają z tego, co się pospolicie nazywa jej „upadkiem“ a najczęściej bywa niewiadomością, nieszczęściem lub ostatniem słowem ślepej ale olbrzymiej miłości. Po drugiej stronie staje mężczyzna, najczęściej dojrzały, zawsze świadomy, a w dziewięciu dziesiątych co najmniej kusiciel, niemający na swą obronę cienia uczucia, lekkomyślnik płochy lub zmysłowy. Przejdzie lat kilka. Dziecko z deszczem spadłe i, jak *Julianka* pani Orzeszkowej, przez ręce żebraczki podniesione z wilgotnych kamieni, w dziedzińcu starego, przez biedaków i nędzarzy zamieszkałego domu, wzrastać będzie dzikie, tu i owdzie miłosierdziem karmione, poniewierane, zaniedbane, pokaleczone moralnie towarzystwem uliczników, fizycznie: tu duszą od żelazka co na nią u praczki spadła, tam cegłą, gdy w sieni spała, tu pięścią pijaka, tam szczypaniem złośliwego ulicznika. Przygarnie ją może poczciwa jaka „sędzina“ i żebrać nauczy. A potem, gdy i ślepej opiekunki nie stanie, błąkać się będzie czas jakiś, tu nocując w cuchnącej norze obok dziada żebraka, tam spełniając niskie najemne usługi. A potem... „rozstap się ziemi“ zniknie, I może— jak to z niezwykłym filozoficznym artyzmem uczyniła autorka, na zakończenie Izawej historii opuszczonego dziecka, stawiając szereg przypuszczeń co do dalszych losów Julianki— „zziębla, zgłodniała i chora, cicho usnęła ona na wieki pod płotem zamiejskiego ogrodu.“ A może „zasada moralna wpojona w Juliankę przez ślepa żebraczkę: jeśli raz miniesz się z siódmym przykazaniem, do turmy pójdziesz i w piekle będziesz! zachwiała się wobec silnej pokusy lub zręcznej namowy jakiej... poczem zamknęły się za nią drzwi więzienia. Być może jeszcze, iż pochwyliła ją jedna z tych sieci, którą zbrodniczy przemysł rozciąga na piękność kobiecą w zarzucie choćby dostrzeżoną, i że ukaże się ona jeszcze kiedyś na świecie dorosłą i wykształconą— w szkole występku? W każdym razie „smutna to historia!“

Tyle o dziecku. A matka?

Może kto ją widział kiedy „śród głuchej nocy z lampką w rękę przebywającą puste, ciemne, wiatrem świszczące pokoje niezamieszkałego piętra gmachu, jak postawiwszy lampkę na ziemi stawiała nad uspijonem dzieckiem: wyprostowana, sztywna, ze splecionymi dłońmi zarzuconymi na głowę i szeroko rozwartą nieruchomą żrenicą. Wyglądała ona w tedy jak posąg rozpaczy. Niekiedy w zamyśleniu pytała: Boże! po coś mi dał serce? Innym razem przykładła dłoń do piersi i gwałtownie śród ciszy nocnej powtarzała: O sumienie moje! sumie-

nie! sumienie!... albo płakała cicho, rzewnie, głęboko, szepcząc: żebym mogła utracić pamięć tak jak straciłam wiarę i nadzieję.“

I może kto słyszał kiedy historią nieszczęśliwej, co „złą nie jest!... owszem ma serce i sumienie nie gorsze jak u kobiet innych... ale—raz w życiu popelniła grzech... i potem zwałił się jej na plecy ciężar tak wielki, że, aby dźwigać go, sił jej nie stało... Więc zamieszkała w kraju takim, gdzie wieczna panuje ciemność... nie świeci żadna gwiazda nadziei a promień miłości, jeżeli pali się jeszcze, to dla tego tylko, ażeby dręczyć, nie żeby pocieszać... Kraj to ciemny taki, jak najciemniejsza noc; ludzie uciekają zeń często do grobu... ale ona nie miała siły uciekać... i myślała przytem, że jak ucieknie, to na zawsze już porzuci swe dziecko... Została i mieszkała tam ciągle, a z nią razem mieszkał żal i wstyd, strach i bieda... A mieszkała tam dla tego, że bardzo kochała“....

I może kto słyszał kiedy, jak tę nieszczęsną dziecko jej pyta: „A gdzie mój ojciec?“—Co odpowie?—Czy przeklnie? Nie. „Niech mu Bóg przebaczy! Przebacz mu!“ Kobieta ta przebaczyć mogła, powinna była poniekąd przebaczyć swą niedolę temu, którego kochała; ale możeż zabronić opuszczona, bez nazwiska, dachu, ojcowskiego ramienia i serca pozbawionemu dziecku przekląć nieznanego ojca, sprawcę tej strasznej nędzy?

Gdy w szczególnych okolicznościach, przez kodeks prawny pominiętych, ale w kodeksie dobrze zrozumianej moralności krwawemi łzami zapisanych, kobieta bywa poniekąd uniewinniona z zarzutu pogwałcenia prawa porządku moralnego; jeśli bywają wypadki, w których nie grzechem jej lecz tylko niedolą bywa dowolne rozporządzenie się własnym szczęściem i poświęcanie go na ołtarzu miłości, bez wzięcia w zamian ani jednej z tych milionowych kompensat: rodzinnego życia i opieki, stanowiska w świecie, szacunku ludzi, radości, bezpieczeństwa, jakimi prawne małżeństwo tak hojnie obsypuje małżonkę; narażenie na szwank losu i szczęścia dziecka nigdy, pod żadnym warunkiem dozwolonem przez sumienie być nie może, i każda z rozwiniętym umysłem i sercem niewiasta uczucie to głęboko nosić w sobie musi, w niem raczej niż w kruchych, ogólnikowych i aż banalnych przepisach przyzwoitości, czerpiąc siły tak potrzebne wobec namiętności ślepej, a potrzebniejsze jeszcze w próbach i bólach szlachetnego choć nieszczęśliwego uczucia. Ale czy wiele jest kobiet zdolnych zrozumieć obowiązki macierzyństwa i, w okolicznościach rozwojowi obowiązków tych przeciwnych, na ołtarzu sumienia złożyć najkrwawszą choć najcichszą z ofiar? Możnaż wymagać takiego zaparcia się siebie od matki Julianki, od tej ubożuchnej moralnie i materyalnie kobieciny, co dowiadując się o zni-

knięciu swego dziecka, porwała się wprawdzie ku drzwiom, lecz tuż „stała z obwisłemi rękami“ szepcząc: „Jak ja mogę jej szukać, pytać o nią? ludzie domyślą się zaraz. Daremna troska!—domyślić się łatwo było! „lecz nigdy nikomu poszlaka najmniejsza nie pozwoliła domyślić się, kto był ojcem podrzutka.“

Tyle o rodzicach Julianki. Winni oboje—ona swą winę okupiła częściowo cierpieniem—była ofiarą; dziecko większą jeszcze, bo niewinną zostało ofiarą—oboje winni—kto winniejszy?

Więc znów lekkomyślność! W *Sieroczej doli* w puch rozbijała ona szlachetne popędy serca, dobre chęci przetwarzała w ciernie i straszdyła, w Juliance kołatała o zasadnicze filary moralności i porządku społecznego, w przepaść wpychając kobietę i dziecko, jedną w pół winną, drugie całkiem niewinne, ofiary chwilowego uniesienia, kaprysu lub niepowściągliwości mężczyzny.

Zapuszczając coraz głębiej spojrzenie w mrowisko nędz i niedoli społecznych, spostrzegamy wypadki, gdzie nie idzie już o los jednostek lecz o losy tysięcy, o byt społeczeństw; gdzie winy i usterki piętrzą się jedne na drugich, nie pośrednio już jak zwykle, lecz wprost zahaczając o obowiązki obywatelskie. Im sprawy bywają szerszego zakroju, chociaż z pozoru drobne nieraz, tem więcej szkopułów napotykamy w niewyrobytych w tym względzie pojęciach. Z usterek maluczkich wysnuwają się zawikłania fatalne, groźnej doniosłości, a lekkie mgły nagromadzone na powierzchni, zapadając w głębie, łamią się w olbrzymie i potworne cienie. Noc cieni tych spowija u dołu czółgające się chucie, brutalne egoizmy, krzywdy, gwałty, zdrożności, tortury, a skarg i złorzeczeń tyle, żeby ich dość było na zaćmienie jasności dziennej, gdyby ćma ich wydstąpiła się na wierzch z otchłani. Rąbek tej przepaści odsłania *Litwos* (Henryk Sienkiewicz) w „Szkicach węglem.“ Spojrzmy na ostatni akt krwawego dramatu.

(D. c. n.)

NASI NOWELLIŚCI.

Szkic z współczesnego piśmiennictwa.

(Dalszy ciąg.—Patrz zeszyt 151)

„Na niebie zaszedł już wóz, a weszły *kurki*, gdy drzwi skrzypnęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. Wszedłszy, stanęła jak wryta, bo spodziewała się, że Rzepa jak zwykle będzie spał w karczmie; tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą z pięściami wspaniętymi o kolana i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

— Gdzieś była? — spytał ponuro Rzepa.

— Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach, ze szlochaniem i płaczem wielkim, zaczęła wołać:

— Wawrzon! Wawrzon! dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potem zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulitujże się choć ty nademną: mój serdeczny. Wawrzon! Wawrzon!

Rzepa wydobył ze skrzynki siekiere.

— Nie — mówił spokojnym głosem — już tobie przyszło na koniec niebogo! Już ty nie będziesz, niebogo, w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiero ona spojrzała na niego z przerażeniem.

— Cóż ty chcesz mnie zamordować?

A on:

— No, Maryska! nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potem będzie koniec: nawet nie poczujesz nieboga.

— Wawrzon i ty naprawdę?...

— Połóż głowę na skrzyni! — wołał już z pianą na ustach.

— O! dla Boga! ratunku! ludzie! ratun...

Rozległo się gluche uderzenie, potem jęk i stuk głowy o podłogę; potem drugie uderzenie, słabszy jęk: potem trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste. Na podłogę lunął strumień krwi; węgle na kominie przysgasy. Drganie przeszło Rzepową od stóp do głowy, potem trup jej wyprężył się nagle i pozostał nieruchomy.

Wkrótce potem szeroka, krwawa luna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania dworskie.“

Cóż doprowadzić mogło Rzepę do popełnienia podwójnej zbrodni? Wszak „serdeczny Wawrzon“ kochał swoją Marysię, bo kobieta zdrowa była jak rydz, szeroka w plecach i w biodrach, smukła w stanie, gibka, słowem: łania! Rysy miała drobne, głowę niewielką i pleć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promieniami słońca; oczy duże czarne, brwi jakby napisane, mały cienki nosek i usta jak wiśnia. Śliczne ciemne włosy wymykały się jej z pod czepca.“ Nadto, jak to opiewa poemat Litwosa, Rzepowa była słodka, kochająca, cierpliwa i zdolna do ostatecznych poświęceń. Gdy wijąc się u nóg męża z rozdzierającą rozpaczą wołała: „dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam“, ze słów tych biła krwawa prawda. Wiejska taka kobieta nie posiadała wykształcenia nakładającego niedościgną cenę na godność niewieścią. Cnotliwa i kochająca, umiała wydrzeć się z natrętnych i zelżywych objęć pana pisarza Zołzikiewicza i nawet bez czynnej pomocy poczciwego psa Kruczka, potrafiłaby zapewne dać odprawę gminnemu don-Juanowi i, zanim przywiedziona ostateczną rozpaczą poszła w stronę „murowańca“, kalwaryjską łącnie przebyła drogę. Szmul przed karczmą zatrzymał był niosącą wodę i pytał:

— Byliście u sądu w gminie?

— Byłam.

— Byliście u księdza? —

— Byłam.

— Byliście w powiecie?

— Byłam.

— I nie wskóraliście nic?“

Istotnie nic nie „wskórała“ — nigdzie! Gdybyśmy przeszli z nią krzyżową drogę, którą przebyła od chwili, jak mąż jej wróciwszy z karczmy do chaty, siadł na ławie i wyrzekł słowa „Zaprzędali mnie!“ na co ona „uderzyła w lament wielki; on za nią; dzieciak w kłopotcie zaczął wrzeszczeć a Kruczek we drzwiach wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylatywały baby z łyżkami w ręku“, ujrzelibyśmy ją przy każdej stacyi tej Golgoty. „U sądu, w gminie, kędy „inteligencya“, pośrednie tylko przez zapraszanego od czasu do czasu do pańskich dworów pisarza Zołzikiewicza, wywierała wpływy, „nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt (najście to miało miejsce w czasie zasiadania przeświatnych ławników) rozwarły się na oścież i ukazał się w nich Rzepa chmurny jak noc a za nim Rzepowa i Kruczek...“ Oto biedna kobieta przyszła „na skargę na wójta i na pisarza, przed wójta i pisarza. „Wzięli go, mówiła, obiecowali mu las, byle podpisał, to i podpisał... pijany był i nie wiedział, że zaprzędaje dolę swoją i moje i dziecka... a toć trzeźwy człowiek nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojej! Oj, ulitajta wy się nademną i nad nim i nad dzieckiem niewinnem! W co ja się obrócę nieszczęśliwa! Sama, samusienka na świecie bez nikogo, bez *nieboracyska* mego... Toć wy ludzie macie Boga w sercu i na naszą krzywdę nie pozwolicie. Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! przyczyniże Ty się, przyczyni za nami.“

Bardziej wymownej w prostocie swej, bardziej wzruszającej i pod pozorem bezładu bardziej logicznej obrony jak ta, którą Rzepowa wygłosiła przed sądem ławników w Baraniej-Głowie, w sprawie swego męża, ściany oskarżeń i obron nie wiem, czy słyszały kiedykolwiek. To też panowie ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc co czynić... nakoniec stary jeden ławnik mruknął:

— A dyć to nie ładno człeka upoić i zaprzędać.

— Bo i nie ładno! odpowiedzieli inni.

— Niech was Bóg i Przenajświętsza Jego Rodzicielka błogosławi! zawołała klękając w proggu Rzepowa.

Przedwczesne dzięki. W sądzie był pisarz Zołzikiewicz, z którego to objęć Rzepowa, prosta wiejska kobieta, śmiała się wyrwać, a za Rzepową stał Kruczek, który to w niezbyt przyjemny sposób ośmielił się poturbować pana „pisarzonია“ i teraz jeszcze pomrukiwał, spoglądając na niego z podpełba,— i pan pisarz powiedział ławnikom bez ogródek, że są „durnie“ i nastraszył ich, że wyraźnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony

morskim sądem,“ a oni „durnie“ nie wiedzieli, co to sąd morski i okrutnie bali się odpowiedzialności, a nadto pana „pisarzonia“ za wyrocznię mieli. Więc „sąd się zagaił i bezpośrednim jego rezultatem było, żeby Rzepę zamknąć w chlewku na dwa dni a na kancelaryą niech zapłaci rubli srebrem dwa kopiejek pięćdziesiąt.“ Rzepowa wypchnięta z sądu, szła do pustej chałupy, prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą i co kamień, to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową a zawodziła: Oo! oo! oo!

Z sądu Rzepowa poszła do kościoła. Była to niedziela. Ksiądz proboszcz kanonik Ulanowski „tak był już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wyłaziły jak rybie, a głowa kręciła się na obie strony.“ Ksiądz wikary Czyżyk, „człowiek bardzo świętobliwy i rozumny“, u którego właśnie Rzepowa postanowiła zasięgnąć rady, miał kazanie „o średniowiecznej herezyi Catharów i tłumaczył swoim parafianom, w jaki jedynie sposób mają zapatrywać się tak na ową herezyą, jak i na bullę *Ex stercore* przeciw niej wymierzoną.“ A owieczki swe ubezpieczając od ludzi zaslepionych pychą szatańską, wspominał mimochodem o „Condillacu, Voltairze, Rouseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy.“ Po kazaniu i po sumie „Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę... Oj! porady dobrodzieju, porady przyszląm od was szukać!“

— I nie omyliliście się moja kobieto — odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk. — Ale ja mam tylko jedną poradę. Oto ofiarujcie Bogu wszystkie swoje strapienia. Bóg doświadcza swoich wiernych; doświadcza ich nawet i srodze, jak Hioba, któremu psy własne lizaly rany bolące, lub jako Azaryasza, na którego zesłał ślepotę. Ale Bóg wie co robi i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę Bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci.

Rzepowa popatrzyła na księdza swemi czarnemi oczyma, podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła jakby ją coś dusiło za gardło. Chciała płakać i nie mogła.“

Panna Jadwiga z kuzynkiem swym Wiktorem, przechadzając się po wsi i rozmawiając o tysiącach rzeczy, spostrzegła stroskaną Rzepową i zasmuconą przez chwilę „niemiłą tą sprawą,“ poradziła biednej kobiecie udać się po radę do „papy.“ „Do dworu? — mówiła sobie Rzepowa. A toć mnie tam najpierwej trzeba było iść. Oj, głupia też ze mnie kobieta.“ We dworze byli goście, kazano jej czekać. „Rzepowa

czekała i czekała. Przychodziło jej do głowy, czyby nie wrócić do chałupy, a przyjść później, ale bała się, że potem będzie zapóźno; przysiadła więc tylko na trawie pod plotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno przebiega ją od stóp do głowy. Czasem także brały ją cięgoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty było już zastawione, w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami: „Anioł Pański.“ Potem rozmyślała, jak też to ją poratuje pan Skorabiewski... „Panosko zawsze dobry był i dla ludzi miłosierny, myślała sobie, toć mnie tak nie ostawi. I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki.“ Państwo i goście pili tymczasem herbatę, jedli kolacją: „wtedy przypomniała sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąć w usta a rano tylko się trochę mleka napiła.

— Oj żeby mi też choć kosteczki dali ogryść! — pomyślała sobie — i wiedziała, że daliby z pewnością, nietylko kosteczki, ale nie śmiała prosić, by się nie naprzykrzać i w oczy nie leść przy gościach.“ Nakoniec goście odjechali i pan dziedzic wysłuchał Rzepową.

„— Wszystko to bardzo dobrze — rzekł wysłuchawszy — ale co ja mogę zrobić. Pomógłbym wam chętnie, ale dałem sobie słowo, że się ja w sprawy gminne nie będę wtrącał, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnymi sprawami... Wy macie swoją gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? — Moja Rzepowa. No! idźcie z Bogiem.

— Panie Boże zapłać — ozwała się głucho kobieta, podjąwszy dziedzica pod nogi.“

W chałupie Rzepa wypuszczony z chlewka siedział pijany. Widząc, że żona nic nie „wskórała“, sam poszedł do dworu, a że był natarczywy i gburowaty, wyrzucano go za drzwi. „Podpalićby ich psio-wiara“, mruknął z wściekłością głuchą, o stół pięścią waląc, a Rzepowa mu na to: „Cichożje zbereźniku!“ Pan dziedzic odsyłał do Osłowic do naczelnika po radę i pomoc, mąż co dzień w karczmie „zalewał ro-baka...“ „Kobieta więc, nie pytając już o nic, zdała wszystko na wolę Bożą i wzięwszy dziecko, wyszła do Osłowic... o trzy opętane mile.“ Herszek, pachciarz z sąsiedztwa chciał złoty za podwiezienie, a że takiej sumy nie miała, pojechał bez niej. Posiadała wszystkim wszystkiego jeden czeski, a chcąc dać jałmużnę siedzącemu przy drodze pod ko-

lumną z krzyżem kalece, prosiła go o pięć groszy reszty, lecz dziad nawymyślał jej i reszty nie dał. W Osłowicach błąkała się nieboga, dopytując o „powiat“, o „naczelnika.“ I potkawszy nakoniec tego dygnitarza, „złękła się tak, że głos urwał się jej w gardle: język kołem stanął.“ Posadzono ją, że pijana, nawymyślano, wyśmiano.

„— O Jezusie! Maryja! wykrzyknęła Rzepowa, czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jej z rąk. Przenosiwsię naczel..“ A naczelnik na to :

„— Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie.

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho, tylko dzieciak Rzepowej począł wrzeszczeć. Więc rozbudziła się, jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nie swoim głosem: Aa! aa! aa!

„Potem wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami, a na krańcach widnokregu grzmiało. W powietrzu było parno... Rzepowa w twardem ręku niedoli spoglądała tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie, wiatr gnał ją, pot ciekł z jej czoła... Czasem gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i poczynął oddychać tak, jakby zaraz miał skończyć, wołała na niego: Jašku! Jasienku mój serdeczny! i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny.“ Pijany chłop rani ją rzuconym na nią kamieniem; jakiś złoty młodzieniec nadjeżdża z kabrioletem, żartuje z niej sobie, „bo był to figlarz znany w okolicy cafej“ i dalej rusza, całując się z guwernantką, którą wiozł w swym kabrioletcie. Rozpacz ją ogarnia, siły opuszczają; z gorączki mruczy jak pijana: „W chałupie pusta kolyseczka, a mój tata poszedł na wojenkę z karabinem...“ „Nagle błysnęło, piorun runął tak blisko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła“; porwała się, znów biegła, wołała: „ratunku ludzie! Wicher wbił jej nazad głos w gardło i zatamował oddech... Rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko... sama upadła obok niego.“ Gdy ją nieprzytomną odwiózł Herszek do chałupy, mąż nawymyślał jej, a potem przeproszał, bo czuł, że takiej kobiety nie wart, ale szczęście nie wróciło, „dola się już ich skończyła.“ Jemu złe przychodziły myśli, a że ludzie słyszeli, jak nie dostawszy na spowiedzi rozgrzeszenia od świętobliwego księdza Czyżyka „po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomódz, to on duszę djabłu zaprzeda, poczęli się go wystrzeżać. Nad chałupą zawisła jakoby kłątwa...“ Oto po jakich cierniach chodziła ta sliczna, kochana Rzepowa, zanim poszła w stronę „Murowańca.“

Litwos, jak widzimy, do odpowiedzialności za zbrodnią Rzepy i śmierć Rzepowej powołał gminę, kędy „nieinterwencya inteligencyi“ pozwala takim Zolzikiewiczom niestworzone w ciemnych chłopów wmawiać dziwy; plebana, od którego zamiast zdrowej, religijnej pociechy i moralnej nauki, wieśniacy słuchają jak o żelaznym wilku o średnio-wiecznych herezjach; dwór i urząd wreszcie. O ile autor miał słusność i przepyszny ten poemat zbudował ze spraw codziennych, niech powiedzą ci, którzy szukając wkoło siebie przyczyn dla wielu mimochodem puszcanych przez ogół zjawisk, posetnie przekonać się mogli, że w gminie, w probostwie, we dworze i w urzędzie, rzeczy mają się zbyt często niestety tak, jak to w krasomówczym swym procesie wyświecił Litwos. Znajdą się tacy, najbliżej zarzutem dotknięci, którzy autora „Szkiców węglem“ pozwolą sobie nazwać „czerwonym“ na tejże samej zasadzie, na jakiej szlachta czerwonym nazywała Flosa „dzierżawcę Małych Postępowic“, który bywał początkowo, jako ławnik na sądach i twierdził, że inteligencya powinna w nich brać udział.“ Dziwnie, bo u nas rozumieją i stosują niektóre słowa. Szczęściem, że Litwos „jenszy“ od zwykłych śmiertelników, olśniewającym swym talentem wyrobił sobie prawo interweniowania w każdej sprawie *pro publico bono* i nie potrzebuje się lękać, aż się czego „doigra“ od siedzących przy jego ławie ławników.

Ze zdobytego olśniewającym talentem prawa interwencyi Litwos korzysta, coraz subtelniejszej natury oskarżenia wnosząc przed trybunał społecznego sumienia i — historyi. Dla nadania oskarżeniom tym całej doniosłości, za ofiary wybrał dwoje drobnych dzieci, a cały przebieg sprawy zawarł na dziesięciu stronicach dla każdego. Prawda, że w szybkich tych dramatach tłoczą się piękności psychiczne i społeczne zagadnienia, a słowo każde jest strzałą wypuszczoną daleko, wysoko, jest pełną artyzmu w najlepszym artyzmu znaczenia. Pod względem artystycznych piękności nic zrównać nie może historyi wiejskiego chłopięcia (Janko muzykant), któremu „coś w boru grało... Co? albo on wiedział?... Sosna, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór i basta! Echo też... a jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucił, to mu nawet wiatr grał w widłach...“ Pędzono go, „odmieniec“ nazywano, „w końcu wyglądał jak obite jabko niedojrzałe... chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstsza i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...“ naturę odmienić trudno! a „taka to już była jego natura... wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzyпки z gonta, które zaledwie brzęczały... żył najczęściej surową marchwią

i także chęcią posiadania skrzypek.“ Chęć ta go zgubiła! Przyczołgał się do kredensu pod niebytność państwa w domu. Na ścianie wisiały osrebrzone smugą księżycowego światła skrzypce lokaja. Pokusa była silna. „Z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczący, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął...“ pochwycono biedne dziecko, przed sądem u wójta stawiono. „Mieliz go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonemi, zaleklemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać, czy jak?... Trzebaż przytem mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł i cała rzecz.“

„Biedne potrzaskane skrzypki! Ej głupi, zły Stachu, któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe i zawsze było ledwie żywe... Na drugi dzień nie wstał Janko, a trzeciego wieczorem konał spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem... i wsłuchiwał się ostatni raz jak wieś gra...“

„Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch wraz z panną i kawalerem co się o nią starał. Kawaler mówił :

— *Quel beau pays que l'Italie.*

— *I co za lud artystów. On est heureux de chercher là bas des talents et de les proteger...* dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...“

Wstrętny to narów, to rozmikowanie się nasze w obczyźnie, śmieśczość przedzierzająca się na każdym kroku niemal w zdrożność. Aby umysł, przy normalnym rozwoju, zdolniejszym był do ocenienia i asymilowania sobie obcych wyobrażeń niż swojskich, jest rzeczą wręcz przeciwną przyrodzie. Obyczajowe, umysłowe i artystyczne zdobycze obcej cywilizacji są niewątpliwie dostępne dla umysłu i smaku wykształconego w pewnej ogólnocywilizacyjnej sferze; lecz wówczas chyba i wówczas tylko, gdy umysł i smak zdolnym jest przepoić się na wskroś swojskiego, dostępniejszego i bliższego siebie geniuszu wpływami. Gdy takowe odrzuca, by za obcemi gonić, goni za niemi na oslep, przez idiotyczne naśladownictwo, lub też skutkiem chorobliwego zбочenia w wychowaniu. Że takiego zбочenia skutki są fatalne, o tem zbytęcznym byłoby mówić. O ile unikać mamy dobrowolnego przykładania się do zбочeń takiego rodzaju, stanowi jedną z najelementarniejszych zasad narodowych obowiązków; tem bardziej, gdy siła niezależ-

nych od nas okoliczności pchnie nas gwałtem na bezdroża, kędy roją się cierpienia dla pokoleń, a groźne następstwa wypływają dla społeczeństw i cywilizacji samej z równie mądrego jak okrutnego pogwałcenia praw naturalnych. Gwałt to tem wstrętniejszy, że się dopełnia zwykle w imię rzekomej cywilizacji. Gdy zakon krzyżowy w krwi chrzcił ongi pogńskie Prusy i pożogą zdobywał sobie ziemie, do ohydy zdobywcy dodał najohydniejszy z edyktów (1309 roku), wzbraniający podbitym używania ojczystej mowy. Nowożytnie Prusy, wobec cywilizacji europejskiej na powtórzenie takiego edyktu pisaćby się nie śmiały. Prusacy w najlepszej wierze mają się za cywilizatorów świata całego. Dość pospolita narodowa zarozumiałość. Gnieździ się ona zwykle najszerzej tam, gdzie jej na podstawach najwięcej zbywa, tak samo jak u pojedynczych ludzi obskurantyzm bywa zwykle rodzicem arogancji. Na wzbronienie edyktem polakom Księstwa Poznańskiego używania polskiej mowy, nowożytnie Prusy pisaćby się nie chciały zapewne; lepiej uderzyć w sam rdzeń języka, wychowanie młodzieży gruntując na obcych podwalinach. Otóż w Poznańskim, jak się dowiadujemy „Z pamiętnika poznańskiego na nauczyciela“, „każdą chwilę potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca zabiera łacina, grecki i... niemiecki.“ Biedny Michaś pracował nad siły przez miłość dla matki, lecz nie dostawał stopni, bo — któż uwierzy?... bo miał polski akcent i kwita!... Dziwny był los Michasia. Dramata życiowe zaczynają się zwykle później, gdy liście spadają z drzewa młodości; dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedynastym roku życia. Ani jego wątpa postać, ani jego wątpa siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi...“ A nadto „w opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawowało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z „polskiego zaco-fania“, języka i tradycji... Michaś został usunięty ze szkoły.“ W nocy, w gorączce powtarzał sennym, nateżonym głosem: *Conjunctivus: Amem, ames...* a potem śmiertelną zdjęty chorobą, „deklował w malignie dumę o Żółkiewskim, to chwilami przemawiał w języku wykładowym“ a potem? „Delikatny jego profil wrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej rekreacji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwy... Powoli koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić... Niedawno był jeszcze między niemi, dostawał złe stopnie, odbierał poławania i nagany publiczne, miał zły akcent, każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uczysty, spokojny, otoczony światłem. . .

Chłopcy trącając się łokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet „Herr Inspektor“ przyszedł, to onby się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie — że on tam zupełnie, zupełnie może robić co mu się podoba, hałasować jak zechce i mówić choćby po polsku...“

„Jestem sam nauczycielem, — mówi nauczyciel Michasia, — i nie wiem cobym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek jaki z niej płynie. Myślę tylko poprostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci...“ „Pedagogia lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje jej rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dla tego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białem, cnem, ukochanem, druga naznaczała piętnem strupieszenia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga—występkiem.“ Taka nauka nietylko jest tragedią, bywa nadto zgorszeniem, paczy charakter i umysł dziecka, jeżeli go nie zabija, jak Michasia zabiła. Michaś był nieodrodnym synem rodziny, która „zadużo kochała... więc rozmaite burze rozwiały fortunę. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz i jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że z góry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca — zadużo kochają.“ Chociaż ten rodzaj ludzi ginie teraz, pozostają dzieci innego gatunku ludzi, dzieci na których gwałt naturze ich zadany, gorsze od śmierci sprawia skutki. Zostają dzieci, po których: „pogarda, wydrwiewanie z kraju, języka, oczyszczonych tradycyj, słowem — ze wszystkiego co w domu nauczono je czcić i kochać, zeslizgują się nie zostawiając nic... prócz głębokiej nienawiści do nauczycieli i całej ich rasy.“ Pomijając to nawet, że istotny interes państwowy nie zgadza się z wszczepianiem tak naturalnej, wymotywowanej nienawiści w plemieniu objętym granicami państwa, — jakież straty dla uczuć ogólnie ludzkich wyniknąć muszą, gdy dziecko wzrasta w tak demoralizującym uczuciu, jakim jest choćby umotywowana nienawiść? A dzieci zbyt płytkiego umysłu i charakteru, zbyt na uboczu trzymane od tradycyi — to jest: naturalnej etycznej szkoły i naturalnego etycznego dziedzictwa, dzieci, którym ból szalony nie zerwie w wątlej piersi nici życia, ani ból tępy a nieustanny nie rozżarzy w łonie mściwej nienawiści, w cóż się obróć pod wynarodowiającym pedagogicznym systematem? Będą z nich kiedyś, jeśli nie obywatele kraju, to przynajmniej filary państwa? Szalone nadzieje! Moralny porządek

puszcza korzenie na naturalnym gruncie, — sztucznie przesadzany, dzikie wydaje owoce lub porasta w chwasty. Ten, kogo od wczesnego dzieciństwa uczą burzyć wrodzone uczucia i naturalne świętości, logicznym skłonem rzeczy zostać może — poniekąd musi — wicherzycielem publicznego porządku. Szkoły z systematem wychowania takim, jaki widzieliśmy dopiero w... Poznańskiem, nie są tylko norą tortur dla ducha pokoleń, są nadto, są zwłaszcza rozsądnikiem tej strasznej epidemii społecznej, przed której zmorą wzdraga się zachód i południe, drżą wschód i północ starego ładu. Tradycya historyczna z jednej strony, z drugiej na wskroś szlachecki temperament narodu i pewien ideał, bez jakiego nic z tego co polskie, na jakichkolwiek stopniach i pod jakimkolwiek sztandarami, obyć się chyba nie potrafi, zasłaniają nas przed tą wstrętną epidemią. Jesliby się jednak zjawiała i wśród nas kiedy, ulegną jej niewątpliwie i wyłącznie wynarodowieni i nie mówiący po polsku polacy. Dużo wody upłynie, zanim smutną i straszną tę prawdę konieczność następstw wtłoczy w sumienie sfer kierujących publicznem wychowaniem w... Księstwie Poznańskiem, lecz trup Michasia leżący w trumnie, w nowym mundurku i białych rękawiczkach, „sztywny, obojętny i pogodny, zanieś skargę „po polsku“ nietylko do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją,“ lecz i przed surowy majestat historyi, nie dając się przejednać rzekomym interesem chwilowych względów.

„Janko muzykant“ i Michaś „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“, dwa drobiazgi literackie, służą za przykład, do jakiej doniosłości dosięgać mogą literackie utwory drobnych rozmiarów, gdy się w nich połączy wytworna etyka z wytwornym artyzmem. W wiązance nowelli, którą mamy przed sobą, nie ma ani jednej, któraby nie sięgała do najżywotniejszych zagadnień. I tak w „Czternastej części“ pani Orzeszkowa nasuwa czytelnikom kwestyą podwójnej: prawnej i rodzinnej natury kwestyą, której rdzenną zawilgość potęguje sfera małomieszczańska, jaką nie bez słusznych powodów, za tło dla swej nowelli obrała autorka.

„Na imię mi Teodora, — mówi skromna osóbką, — ale Czternasta część, drugie moje imię. Pierwsze dał mi ksiądz na chrzcie świętym, drugie nie wiem kto... Pytałam się nieraz i siebie samej i rozumnych ludzi, dla czego byłam zawsze i jestem czternastą częścią, ale sama nie odgadłam i nikt mi tego nie wytłómaczył... Jedni mówią, że taki już obyczaj, drudzy, że takie prawo, a ja tylko myślę sobie zawsze, że to wielka niedola i że nie daj Boże człowiekowi, w naszym stanie szczególnie, urodzić się kobietą.“ Mężczyzna to rzecz inna. Jemu się do-

stanie trzynastcie czternastych ocowskiego mienia a nadto siakie takie wychowanie, „wszystkie dlań drogi otworem, urzędnikiem zostać nie może, rzemieślnikiem będzie.“ Cywilne prawo, rządzące Litwą, z dziedzictwa ojcowskiego zaledwie okruczę nędzną zostawia córce, wydziedziczonej niemal na rzecz brata. W innym „stanie“, wyższym, poczucie sprawiedliwości, miłość rodzicielska, środki materyalne, w części przynajmniej zapobiegają krzywdom prawnego tego wymiaru. Ale w tak licznym małomieszczkańskim stanie, siostra zostaje na łasce brata, a Teodora Końcówna „za mąż nie poszła jeszcze, dzieci swoch nie hodowała i rzemiosła w rękę nie miała“, bo ojciec jej człowiek „twardego serca, a i ręki także nie miękkiej, o! nie miękkiej wcale“, zwykł był mawiać, że „dziewczyna, czy tam mądra albo nie, to jej wszystko jedno.“ Biedna! zapracowana, sponiewierana, przeszła przez wszystkie stopnie upokorzeń i domowych swarów, aż niechęcią bratowej wygnana z pod rodzicielskiego dachu, w nędzy żyć musiała z braterskiej jałmużny, bo „brat bratem jest zawsze... mówiła, — nie ma co mówić... daje mi regularnie kilka rubli na miesiąc, abym z głodu nie umarła i pod kościół żebrać nie szła... Spojrzała potem na wielką facyatę stajni więziennie przysłaniającą jej okno, na podatry tołubek swój i obrzękle nogi, a patrząc w ogień i trzęsąc głową, kilka razy szepnęła:

— Czternasta część! czternasta część.“

Nie wszyscy jednak pod słońcem bracia czują się jak brat Końcówny zaledwie obowiązani wypłacić siostrze „czternastą część“ z ojcowskiego spadku i siaką taką zasilać jałmużną. Joachim Czyński (*Dziwak*, przez El. Orzeszkową) jest przeciwnie najszlachetniejszym przedstawicielem braterskich, do poświęceń posuniętych uczuć. Ubogi biuralista, wszelkie widoki osobistego szczęścia, miłość, pracę całego życia poświęca, by siostrę upadłą wyrwać „z piekła.“ I „niech pan będzie litościwym dla niej i nie sądzi jej srogo... odpokutowała,“ mówi do prawnika, a gdy mu ten napomknął coś o ofierze: „ofiarę? jaką ofiarę? — pyta, — inaczej zrobić nie mogłem.“

Ów Dziwak, przedmiot pośmiewiska kolegów, w automat piszący zakłęty przez biurową pracę, sknera, zapracowywał się, oszczędzał, i uciukał „8,000 rubli w biletach i jeszcze coś drobnych asygnat i srebrnej monety.“ Chciałbym panie, — mówi do prawnika na śmiertelnem będąc posłaniu, — aby za procent od tych pieniędzy edukowano jednego chłopca i jedną dziewczynę... Żebyś pan wiedział, jak ja o tem ciągle... ciągle myślałem... i w biurze, i przy stole, i w te długie noce, kiedy na świecie cicho było jak w grobie, a ja jeden siedziałem tam przy stoliku

i pisałem tak długo, aż mi ręka zmartwiała... Myślałem, że będzie ich dwoje, którzy przezemnie... przez moją pracę lepszej doli doświadczą, niż ja i Maryanna... a potem znowu dwoje... i tak długo... długo... Ludzie nie lubili mnie i wysmiali... dokuczali mi i prześladowali Maryannę, a ja myślałem sobie, że dzieci tych samych może ludzi, co nas tak prześladowają, będą kiedyś miały przezemnie trochę rozumu w głowie i słońca w życiu... myślałem tak i cieszyłem się bardzo z tego, że za te kamienie, co oni na mnie ciskali, ja kiedyś oddam im chlebem...“

Niech nas nie dziwi tak wygórowana etyka Czyńskiego. Jedno szlachetne uczucie pociąga za sobą szereg szlachetnych uczuć, a poświęcenie ma już tę właściwość, że nierozwinięty nawet umysł podnosi do najszlachetniejszych pomysłów, pomysłem tym za podwaliny dając podniosłość charakteru. Cała etyka przedstawia się jako pochyła droga, z przepaści wzbijająca się nad niebotyczne szczyty. I jak na skłonie tej drogi nieobrachowane bywają wypadki i siła ciężenia toczących się w dół ściągnąć może aż na samo dno przepaści, tak samo, chociaż każdy stopień wznoszenia się w górę kosztuje pewien wysiłek woli, dla pnących się śmiało dostępne są szczyty, te zwłaszcza, których nie złocą blaski sławy, lecz których niezgody nikną w szarym zmroku powszechności. Czy mrokiem tym owiane nie będą one przyswiecać ludzkości? W ekonomii moralnej, tak samo jak w ekonomii fizycznej, żaden atom nie ginie i z żywota biuralisty zgasłego „wśród ciszy i zmroku, bez szmeru, jęku ni skargi“ wypływają dwa strumienie światła, które im dalej w przyszłości biedz będą, tem czystszy blaskiem obiecują płonąć.

Tacy zresztą dziwacy, żyjący ideą daleko poza obrębem obecnej chwili, nie są znów takim ptakiem *raritas*, krukiem białym, jakby się komu może zdawać mogło. Oto do izdebki studenta w Krakowie (*Michał Bałucki* „Z książeczki pamiątek: Dla kogo zbierał?“) wsuwa się haczykowany nos z kropelką mleka na końcu, którą poeta mógłby śmiało porównać do perełki — a za nosem łyse czoło w otoczeniu niewczesnych siwych włosów, cybulaste wypłowiałe oczy, wilgotne, w oprawie tysiąca zmarszczek — następnie spiczasta broda, z kosmykiem rzadkich włosów.“ Jestto właściciel domu, znany w całym mieście ze skąpstwa, dla lokatorów „prawdziwa sekatura.“ Dla kogo zbierał pieniądze, było długo niewyjaśnioną tajemnicą; z wiekiem rozwiązał mu się język, lecz jednocześnie „ogłuchł i niedowidział,—a jednak nie znać było na nim zgnębienia i upadku ducha, bo myśl której poświęcił życie paliła się jak ogień święty w nim i ożywiała go... Dość mu było ręką dotknąć się tego zwitka papierów zastawnych, które nosił zawsze na piersiach, aby z nich, jak po drucie telegraficznym, popłynął cały strumień

najpomysłniejszych wieści o tem, co kiedyś się stanie, kiedy jego już dawno nie będzie na ziemi, — bo rozmowa z przyszłością wypełniała treść jego życia i czyniła go szczęśliwym.“ Aby „z przyszłością rozmawiać,“ trzeba koniecznie mieć poza sobą przeszłość. W przeszłości starzec ten „dwadzieścia kilka lat walczył piórem pod chorągwią demokratyczną.“ „Żebym ja jeszcze, — mówi — miał pióro tak, jak ja to rozumiem, tobym niejedno niem obalił — lecz na to trzeba Herkulesa. Ale gdzie dziś szukać Herkulesa — tak za jakie sto lat — albo i później — cały legion ich będzie!“ Dla kogoż zbierał? „Gdybym miał syna, — mówił, — możeby był urwisz jaki, utracysz, i puściłby na marne to, co ja z takim trudem zbierałem. Otóż ja sobie to lepiej urządziłem. Z tych kilkunastu tysięcy, co człowiek uciułał, zrobi się, ma się rozumieć, stypendy, jedno, albo dwa — według tego, ile po nim zostanie, — zamiast więc, żeby się mój mająteczek dostał jednemu — dostanie się po trochu stu, a może i więcej — O! — Tu nie ma ryzyka — bo na stu przecie trafi się bodaj paru Herkulesów... Nie mała to satysfakcja wiedzieć, że po mojej śmierci w kilkaset lat ktoś jeszcze z mojej poręki będzie wyrabiał się na człowieka, — że będzie pracował za mnie i zrobi więcej, niż ja mogłem. A co? prawda, że warto zbierać dla takiego legionu duchów, ma się rozumieć, że warto. To też dalipan, kiedy pomyśle o tem, co ja będę mógł zrobić kiedyś za moje pieniądze — to żał panie każdej kapki mleka, każdego krajcara, co go obracam na własne potrzeby, bo to panie, formalna strata wydawać pieniądze na utrzymanie takiej zdezolowanej maszyny...“

„Na pogrzeb swój przeznaczył zaledwie kilka guldenów. Kazał ubrać się w najgorsze suknie, bo trochę lepsze zapisał służącemu co go doglądał w chorobie... Ten z własnych funduszów zapalił mu (po jego śmierci) dwie świece i wetknął krzyżyk w rękę. Nad głową zmarłego wisiał portret Staszica... ani katafalka, ani kwiatka koło trumny, ani całunu w oknach... A jednak twarz umarłego, którą w tej chwili drasnęło słońce, zdawała się uśmiechać z powodu owych marzeń o przyszłości, z którymi zasnął na wieki.“

Od skromnych tych, braskami ideału tem niemniej opromienionych bohaterów, wypada nam teraz zstąpić o kilka stopni niżej, w te strefy społeczne i moralne, kędy się coraz skąpsze z góry przedostają promienie. Jedną z najwybitniejszych cech etycznych pisarzy, których utwory mamy obecnie na myśli, jest olbrzymia miłość dla ubogich, pognębionych i cierpiących. Okoliczności w jakich społeczeństwo nasze się znajduje, wpłynąć musiały niepomniernie na rozwój tak szeroki współczucia; z drugiej zaś strony zapobiegliwość, miłością ogółu podniecana,

i chęć gorąca uchylenia lub złagodzenia niedoli i cierpień, zniewalają pisarzy dłużej i szerzej zastanawiać się nad zjawiskami bolesnej natury.

Że zaś pierwiastek dramatyczny przeważa w bycie społeczeństw naszych, nie trzeba się dziwić poczesnemu miejscu, jaki zajmuje w literaturze. Autorowie o których tu mowa, wsparci badaniami filozoficznymi i społecznymi zagadnień, kierowani zaś instynktem talentu, zapuszczają się śmiało w głąbie nędz moralnych i materyalnych, powierzchu zaledwie znanych przeciętnym czytelnikom. Z głębin tych, stosownie do temperamentu swego i do przewagi poezyi lub filozofii, jedni wynoszą na wierzch iskrę nadziei i poezyi, jak pani Orzeszkowa w „Silnym Samsonie„ drudzy gorzki uśmiech myśliciela — jak Okoński w nowellach „O życiu“ — a inni jeszcze łzę i słowo czysto ludzkiego miłosierdzia — jak Prus w „Lokatorze poddasza.“ W nowellach tych znajdujemy całe stopniowanie obustronnej nędzy.

(D. c. n.)

o odpowiedzialności sądowej bez uprzedniego upoważnienia Rady Stanu.

W krótkości tylko zaznaczą, iż p. Bertrand przedstawia całą serię wypadków przekonywających, do jakich nadaje doprowadziło uprzednie upoważnienie. Cwali też dekret z 1870 r. iż porzucił obliczenia tory i usunął frakcyjną „garniturę parsonską”. Ale mimo to stawia prawodawcom z 1870 r. zarzut, iż usunęli nadwyżkę, nie postawili nic na to miejsce, że niejasności i ogólnikowość dekretu wprowadzili do prowadzenia zamieszanie i spowodowali ważne kontrowersje. Nie moge dla braku miejsca przytoczyć, w jaki sposób autor niniejsze kontrowersje rozstrzygnął, jednakże nie jest to przedmiotem niniejszego rozdziału, niepodobna też przytoczyć, jak wytyka przysiężnym ustawom kraju, skąd się wzięło i pojęcia

NASI NOWELLIŚCI.

Szkic z współczesnego piśmiennictwa.

(Dalszy ciąg.—Patrz zoszyt 152)

VIII. Drugim z samych kategorii jest praca p. M. Bloch p. t. „Les communistes et la liberté—Étude d'histoire” (1870). Autor wychodził przedewszystkiem z tej zasady, iż francuzi nie mają prawodawstwa opartych i dla tego w gorów „Symmszel i Cipa (Silny Samson) pobrali się mając, spolem, kapitału rubli trzydzieści. Oprócz tego, Cipa miała jeszcze wyprawę, czyli trzy koszule, dwie pierzyny, dwie suknie i kaftan watowany jeden.” Nadto, pięcioro mieli żyjących dzieci i nadzieję że się jeszcze pewno urodzi z pięcioro. Cipa handluje, a Szymmszel? no! Szymmszel jest bardzo uczynnym żydem, to jest do zarobkowej pracy nie przykłada ręki, a Cipa żywi go, jako też dzieci, pracą rąk swych, czyli raczej swego przemysłu. Uboższej, bardziej odymionej izdebki nad izdebkę zamieszkała przez nich w żydowskiej dzielnicy naszego Ongrodu, trudno wyobrazić sobie. Ale na tle nocy tłoczą się przed olśnioną opowieściami biblii i talmudu wyobraźnią Szymmszela rajskie iście zjawiska. „Nagle, złota drabina i napelniający ją aniołowie, srebrzyste lzy Sar-ha-Olama walczące z ciemnościami, i przecudownemi kwiaty Sandalfona, bledną, zlewają się w tuman niewyraźny, tu i owdzie centkowany jeszcze złotem i purpurą, aż znikają całkiem. Szymmszel ciężką ręką przeciera powieki i smętnym wzrokiem spogląda do koła. Przed nim, na stole, z wążkiego kominka dogasającej lampki wymyka się dym brudny, cuchnący, dokola niego na łózkach, kufrze i na ziemi pod piecem szemrzą senne oddechy i chrapania, z pod pierzyny odzywa się kaszel Liby, kot głośno mruczy, śpiąc obok skurzonego w kącie Enocha; za oknem dnieje“... Pierzchły senne widziadła!—lecz Szymmszel ma się za nieskończenie szczęśliwego. Dopiero całą swą nędzę i słabość poczuł,

odkąd „stał się silnym Samsonem,“ to jest, odkąd przedstawiał biblijnego tytana w amatorskim teatrze, z całym przejęciem się ognistej wyobraźni i nerwowego temperamentu, podniecanego wielkością roli. Wówczas dopiero, porównawszy rzeczywistość z tem bohaterkiem, zachwytów pełnem urojeniem, którem się upoił, „zaniósł się głośnym, jęklwym płaczem, a wśród płaczu mówił: „Biedne moje dzieci! Co ja dla was zrobić mogę? Ja sam biedny, słaby, mały i taki—ciemny, i taki—głupi! I wy będziecie zawsze biedne, małe, ciemne i głupie!“ Potem zaś, porwawszy w ramiona najmłodsze swe dziecko „i przykładając je do samej prawie szyby okna, a kędyś w górę, w górę posyłając błagalne, łzawe spojrzenie, z całej piersi swej wołał:

„Sandalfonie! (1) prosz Jechowę żeby zrobił go—silnym Samsonem!“

Damian Capenko (Okoński) o wiele jest bogatszym od Szymusza i Cipy, bo posiada kapitał wynoszący 250 rubli srebrem. „Z Łuby, kamienieckiego powiatu, podolskiej gubernii, pogranicznej straży, zachwostkij brygady, trzeciej rot, pierwszego oddziału gefrejter“—stara się o względy i rękę panny Hortensyi Motylińskiej, „dziewicy w ciału bogatej i czerwonoską pulchnej twarzy czarownej.“ I jako konkurent panny Hortensyi i jako strażnik pograniczny, budzi zawiść głuchą w sercu pana Tabora, handlarza zbożem, w ścisłych nader pozostającego stosunkach z hersztem kontrabandzistów Postułką. Tabor Capenkę, małorusa poprawnie mówiącego po polsku, z właściwym tylko rusinom akcentem, nazywa „kałmukiem“ skoro chce przeciw niemu podburzyć Postułkę. Syn Postułki ginie w boju na granicy przy przemycaniu płótna Tabora, a tymczasem Capenko dobiega do kresu swych marzeń. Choć stracił i rzewnie opłakał ojca, i choć mu matka pisała—„a nie zostań tam, mój Damianku, mój ptaku,“—postanowił po skończeniu służby kupić dom i ogród od Brzosta, ożenić się z panną Hortensyą i sprowadzić do siebie matkę. Szło mu jak po maśle. Lecz zawiść czuwa. Tabor „spotkał leżącego przy drodze Postułkę.

— No i cóż—rzekł—Capenko zostaje w Przesmyku, kupił ogród od Brzosta i obiecuje strażnikom w łapaniu nas pomagać.

Postułka milczał.

— Na miejscu, gdzie ci syna zabił będzie sadił kartofle.

— A czy to on zabił? Wiecie już na pewno?

— Pociągnąłem za język żołnierzy—wygadali.

— Ha zbój!—targnął się Postułka.

(1) Sandalfon, anioł modlitwy.

— Albo to tylko ta jedna kula była na świecie, którą on wystrzelił—rzekł Tabor... swojemu nie żał ustąpić, ale nie takiemu kałmukowi, co z końca świata przypędzony, zamiast iść do domu, ludziom chleb wydiera nawet wtedy, gdy go sam nie zje. Czy my jemu na Podole włożymy? Czy my kiedy powiedzieliśmy: pojedziemy tam zakładać pasieki?—

A tymczasem matka donosi Capence, że za dwa dni przyjedzie z kawonami, panna Hortensya zgada się na zapowiedzie, Damian ostatnie sady w ogrodzie drzewko... w tem usłyszał na granicy jakieś krzyki, tentent koni—z otaczających ogród krzaków rozległ się strzał—„Capenko jęknął i z drzewkiem w rękę padł martwy.“

„Karl Krug,“ w Mysłowicach bawił się latem kielnią, zimą tkaczkami cewkami, zaledwie mogąc wyżywić liczą rodzinę. Rok 1877 szczególnie był ciężkim, w Lipcu już się przerwała mularka: „Cóż to, zabierasz się do krosien?—rzekła tłumiąc gniew żona.—Pewnie za to w Stycznju będziesz murował.“

— Niema roboty.

— To zamuruj nam gęby, ażeby jeść nie chciały.“ Argument nad wyraz logiczny. Szczęściem zjawił się żyd z Warszawy dla skonstruowania mularzów—Krug puścił się w drogę pełen nadziei, przystąpił do pracy ochoczo, przyjacielsko, uniżenie niemal witając „miejscowych mularzy, którzy przybyłą drużynę groźnem zmierzyli spojrzeniem.“ Próżno Krug łamie język i cierpliwie znosi psoty niechętnych kolegów: uwzięli się na niego, zwłaszcza Rafał Czapla „liczy ale wesoły i zuchwały robotnik, który w swoim świecie używał szerokiej sympatii... Na własny użytek złamanego gwoźdźnia nikomuby nie ukradł, ale dla gromady kasę by złupił. Ponieważ zaś zawsze występował w interesie gromady, posiadał w opinii świadectwo najuczciwszego człowieka.“ On to mawiał towarzyszom o Niemcach, że „trzeba tym pudlom raz ogony poobcinać, żeby nam szkody nie robiły... niech pilnują swoich śmieci! Czy my do nich leziemy? Ale... jest na szczury trutka...“ I istotnie była. Pewnego poranku Krug, orzeźwiony listem otrzymanym z Mysłowic od przyjaciela Klotza, który mu donosił że „w domu dobrze słyhać, dzieci się uczą, żona zdrowa... nawet w błogosławieństwie, i wszystko tak idzie, jak gdyby on sam był na miejscu,“ wszedł na rusztowanie, marząc o tem, jak dobrze, łatwo żyć w Polsce, jak tu żonę i dzieci sprowadzi; to też zawołał zachwycony do Czapli: ja między wami będę na zawsze usiąść.

— To my was podniesiemy.

— Przecież ja także polak, my bracia. .

— Bracia! zaśmiał się zagadniony, a Czapla mruknął: On psi brat nie nasz.

Po południowym wypoczynku (w czasie którego sam Czapla pozostał był dłużej przy robocie i schylał się w miejscu, które Krug na rusztowaniu zajmował) „wracał on do roboty wesół i żywo rozmawiał w swem gronie... Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, zsunięte jednym końcem z poprzecznego bala deski przeważyły się i zwały go na dół.“ Zbiegli się wszyscy z wyjątkiem Czapli, „czterech ludzi podniosło go i włożyło do dorożki, która odjechała z trupem...

— Umarł?—spytał bojaźliwie Czapla dwu swoich przyjaciół. Oni, nic nie rzekwszy, zaczęli murować...“

„Chawa Rubin“ to już taka bieda, że się cały jej obrotowy kapitał składa z trzech rubli, a „budżet zwykłych wydatków na życie ogranicza się do piętnastu groszy dziennie. Cały swój kapitał zaryzykowała, kupując dwa jesiotry. Nabiegawszy się z niemi, nafrasowawszy, puściła się aż do Puław i, jakkolwiek ciężką miała drogę, a od zmęczenia upadała, dzień ten przynosił jej „trzy ruble czystego zarobku. Trzeba być wilczycą ażeby, zrozumieć radość ze zdobycia wołowego uda dla dzieci.“ Nazajutrz, gdy się udała do pani posthalterowej w Kazimierzu po należne sobie za połowę nabytego jesiotra pieniądze, traf chciał, aby przyszła w chwilę, w której posthalter wypędzał Franka roznosiciela listów za „zgubienie dwu listów... Chawa spełniać może ten obowiązek... spełniała go, aż padła nieżywa w przydrożnej bójce z mściwym i pijanym Frankiem“.

Spojrźmy jeszcze głębiej, tam, gdzie na dnie mrocznych nędzy gnieździ się nie zwykle już zabójstwo, często popełnione nie w intencji lecz ze zbytniego zamachu ręki: spojrźmy na samobójcę. Gdzie mieszka on? Oto na strychu „smutnej rudery! Żadna deska w jej ściacach nie przystaje do drugiej, żadne drzwi nie domykają się, żadnego okna otworzyć nie można, żeby się nie rozleciało“... „Lokatorami tego poddasza“ (Prus) są tacy biedacy, że „miłosierny właściciel domostwa tego, Reb Lajzer, już piąty miesiąc ociąga się z wymówieniem im komornego.“ Jakóbową prała bieliznę w pożyczonej u sąsiadki balii... Jakób odkąd spadł z rusztowania „zrobił się taki jakiś“... „Troje chudych z nadmiernie wielkimi brzuchami dzieci kryło się między balią i stołem zarzuconym mokrą bielizną; czwarte okryte jakimś czarnym łachmanem leżało na łóżku; piąte w drewnianej pace na słomie, a ich nędzny ojciec z rozczochranym włosem, najeżonemi wąsami, z bojaźnią w oku stał oparty o komin obok ciekącej konewki.“ Do chorych dzieci może sklepiczarka, gdy u niej Jakóbową umyje podłogę, ulituje się i „przyszle swego siostrzanka, co to je u felczera“ mniejsza z tem! Ale jak tu tyle gęb zapchać? „Ten, roboty nie ma, dzieci pięcioro, wszyscy wołają jeść, a ty choć sobie ręce do łokcia poździeraj, choć się sa-

ma rozedrzyj“.... A tu—„o statki“ dopo mina się służąca sąsiadki i mokra, niedopraną bieliznę trzeba z bali wyjąć... a tu „w sklepiu nie chcą dać chleba i jeszcze mówią, żeby za dawniejszy zapłacić.“ A tu—ostatni grosz poszedł na mydło, a chore dziecię z łóżka szepcze: „Matusiu!... chyba my już dziś nic nie będziemy jedli“....

„Wówczas w sercu tej kobiety żal i rozpacz przemieniły się we wściekłość“.... „Słuchajno stary—mówiła wstrząsając mężem—słuchaj, w domu nie ma nic.... radz co teraz boś ty chłop, a mnie już wszystko z rąk ucieka... zrobisz czy nie zrobisz co—idź, byłeś mi z oczu zszedł, bo albo twoja albo moja śmierć. Nędzarz ocknął się; czy zrozumiał co? trudno zgadnąć, lecz pewnem jest, że czuł wszystko. Czuł wilgoć w mieszkaniu, czuł głód, ból okaleczanej nogi, zawrót swojej biednej rozbitej głowy, a nadewszystko to, że nie ma już dla niego miejsca na rodzinnym barłogu. Gdy wstał z konewki, żona wcisnęła mu czapkę na głowę i zlekka popchnęła ku drzwiom.“

Iść? Gdzie? Stróż Walenty zawlókł go do szynku, gdzie mu pijak z profesyi Ignacy taką wypowiada naukę:

„Powiadam ci... jak ci tam?... powiadam ci mój Jacusiu, wszystko głupstwo! I to słońce... a psiki!.. Ja zawsze kicham, ile razy spojrzę na słońce... głupstwo słońce i ziemia, i domy, i bogactwa!.. Ja z moją szlachetnością w sercu, żebym miał dzieciom chleb odbierać i być niepo-trzebny na tym świecie... powiadam ci, poszedłbym na most i... słowo honoru... hult w wodę!... A może ci świata żal, Jędrusiu, turkaweczko moja? Nie bądź głupi... Wszystko co tu widzisz dokoła, to marności, to czczość...“ Przespał się Jakób pod płotem; gdy się zbudził oszołomiały na śmietniku, łobuz jakiś uderzył go w chorą nogę kamieniem; barczysty mężczyzna od złodziei wymyślając, wyrzucił za wrota; noga go bolała, jeść się chciało, paliło pragnienie—dziad żebrak na skrawku pustej niebrukowanej ulicy, który go prosił o jałmużnę, dowiedziawszy się, że on głodniejszy od żebraka i nie ma gdzie ani jak zarobić, radził mu, aby się powiesił. „Wszystkie cierpienia fizyczne i moralne odżyły w biednym Jakóbie. Zdawało mu się, że go ze wszech stron otaczają jakieś sieci niewidzialne, jakieś narzędzia męki przed którymi chciał uciec. Chciał uciec przed swoją nogą krwawiącą się, opuchłą, przed swoją głową, w którą tysiące młotów kulało, przed spojrzeniami głodnych dzieci, które jak ostre gwoździe wbijały mu się w serce, przed wyrzutami żony, które jak roztopiony ołów upadały na niego, słowem przed wszystkim... przed wszystkim.“

„Z tej strasznej zadumy ocucił go brzęk szkła i krzyki: Giewał!.. lufcik zbil!.. łapaj.. trzymaj... Uciekał co mu sił starczyło, zziąjany wpadł na dziedziniec domu, w którym mieszkał, dowiedział się, że izba

zamknięta, bo żona poszła szukać Mańki, która zginęła, schronił się zatem do komórki pod strych „gdzie były sznury, na których wieszano bieliznę i garstka grochowin, na których zwykle sypiał. Przez lufcik wyglądał oczekując czegoś... Gnano go... niech za szybko zapłaci.. „Ręce Jakóba podniosły się nad głowę“... A potem?

— „Nie gniewajcie się panie Lajzer!—mówił do gospodarza domu lamentującego nad „kryminałem“ bednarz, sąsiad Jakóba,—nie gniewajcie się, bo on nie przez złość tak zrobił, ino przez to, że miał źle w głowie... Jemu i sam Pan Bóg daruje“.

Z przytoczeń zapożyczonych u samych autorów czytelnik wnosić może o zasadniczej różnicy, jaka zachodzi w ich temperamencie artystycznym i środkach używanych przez nich dla poparcia pewnych postulatów. Pani Orzeszkowa nie mogła zgodzić się na to, aby Szymusz (Silny Samson) na wieki pozostał w rozbracie „ze społeczeństwem, którego nie znał, ani znać chciał i mowy jego nie rozumiał wcale“. Iskry poezji, potrzebnej dla wzbudzenia pewnego rodzaju uczuć i wyobrażeń w biednym żydzie, nie rzuciła na grunt jałowy. Biblia i talmud przygotowały w sercu i umyśle Szymusza tę głęboką bruzdę, z której powstają „ideały“, to jest łączniki między uczonym żydem i całym nieznanym mu światem. Łącznikiem tym razem będzie „tęsknota“ i poczucie własnej niemocy.

Wł. Okoński w trzech nowellach „O życie“ farb poezji nie używał wcale. Silnem, szybkim nad wyraz uderzeniem pióra, ciosał w realizmie jedne z tych powszednich, codziennych powtarzających się historyj, które pod ciosami talentu nabierają brylantowego blasku, rozświecają blaskiem tym szerokie koła, promienie wypuszczając w dalekie perspektywy. Sama treściwość niemal sucha stylu, podnosi jeszcze wrażenie drobnych tych utworów. Gdyby autor nie był dodał do nich objaśniającego komentarza, nicby wrażenia tego nie umniejszyło. Myśliciel, snujący z faktów pasmo dedukcyj, wziął górę nad subtelnym i potężnym talentem artysty; autor zapomniał na chwilę, że twory artystyczne powinny same sobie starczyć za wszelkie komentarze. Czy zresztą komentarz ten jednobrzmiący i w snopek jednej celowości wiążący wszystkie trzy utwory, da się do wszystkich i w jednostajnej mierze zastosować?

„Biedny Krugu!—mówi autor,—ja ci to, żeś chciał u nas pracować i moim być bratem—przebaczam.“

Karl Krug był przybyszem istotnie. Należał do napływowej fali robotników bruźdzących... robotnikom miejscowym. Starcia między



temi i tamtemi noszą charakter „walki o byt.“ Lecz że przybyły tu rzeźmiśnik i robotnik wytrzymałszy, oszczędniejszy i akuratsniejszy w wywiązaniu się z zobowiązania, z boju wychodzi zwykle zwycięzko, historia biednego Kruga, którego autor zrobił nad wyraz sympatycznym, może być prawdziwą, ale nie jest typową. Wypadek, któremu uległ Damian Capenko, przydarzyć by się mógł najzupełniej tak samo każdemu grefejterowi pogranicznej straży, na którym by zemsty szukał kontrabnadzista, podbudzany przez równie zemsty chciwego współzawodnika. I Chawy Rubin, rozdzierająca w prostocie swej przygoda, nie wpada w ramy plemiennych zatargów. Plemienne niechęci podrzędna w sprawach tych odgrywają rolę. Nacisk kładziony przez Czapłę na to, że Krug jest „niemcem;“ przez Tabora na to, że Capenko jest „kałmukiem;“ przez Franka, że Chawa jest „niewierną żydówką,“ jest rysem prawdziwym, wymownym, środkiem podniecającym fanatyczne namietności dla dostrojenia stanowczego złoicy, nie jest jednak bezpośrednią katastrofy przyczyną. Przynajmniej czytając nowelle czytelnik nie spostrzeżga, aby te zwłaszcza uczucia katastrofę wywołać miały. Walka tu idzie o życie—o nic więcej, tylko o życie. Słowa jednobrzmiennie zamykające wszystkie te nowelle, zdają się je naginać do niewłaściwego znaczenia, zbyt uogólniają zresztą to, co w każdym razie pozostaje faktem oderwanym. Czytając słowa zakończające „Karla Kruga“ zdaje się, jak gdyby autor oskarżał ogół, że się uwziął na zgubę pracującego uczciwie na ziemi naszej i chcącego nam zostać bratem przybysza. Tymczasem uwziął się na nią sam Rafał Czapla „robotnik lichy,“ człowiek podejrzaney uczciwości, chociaż nie małej, „w swoim świecie“ wziętości. Możnaż posądzać ogół, że się solidaryzuje z Rafałem Czaplą i jego światem? Wszak autor sam, wierny realistycznym natchnieniom talentu, ciężko jęczącego, z ręką na potrząskanych biodrach mularza otoczył gronem współczujących, przerażonych towarzyszków, a kobiecie od noszenia cegieł—warszawiance zapewne—kazał „obcierać mu twarz troskliwie ze krwi i błota.“

Co do Damiana Capenki, mógłgo jakiś tam Tabor nazywać kałmukiem i gorzej jeszcze... ale ogół urodzonego i wychowanego na Podolu, jakiegokolwiek by było brzmienie nazwiska i akcent mowy, za obcego uważać nie może. Capenko nie tylko „chciał być“ lecz niewątpliwie był nam rodzonym bratem, gdyż mazur, kujawiak, rusin i litwin, są jednej matki dziećmi, spojeni węzłami wspólnej cywilizacji i przeszłości...

Prus nad zsiniałym trupem wisielca przez usta bednarza wygłosił słowa rozgrzeszenia: „Jemu i sam Pan Bóg daruje... nie przez złość tak zrobił, ino przez to, że miał źle w głowie!“ Słowa najnaturalniej wypły-

wające z sytuacji nie nadwężają umyślną celowością artystycznego i etycznego wrażenia krótkiej i rozdzierającej historii nędzy. „Niech go Bóg ratuje, to bardzo biedny człowiek“ mówi o Jakóbie żyd, właściciel domu. Istotnie na ziemi nie było dla niego ratunku! Przypomnijmy sobie wzrok jego „błędny“, ponure milczenie, oglupienie... Szpital, ochrona, jałmużna przyszły, jak zwykle przychodzą—za późno.

W cyklu realistycznej powieści, której miniaturowy odłam obrałmy za temat tego szkicu, krwawią się liczne rany. Zanim opuścimy to zaklęte koło niedoli—w niektórych punktach przynajmniej nie bez wyjścia—wypada nam dotknąć przez całe pasmo społecznych i indywidualnych nędz przewijającej się nici kobiecego świata.

Nikt już dziś chyba sprzeczać się nie będzie o wpływy, jakie kobieta: matka, towarzyszka, wychowawczyni i obywatelka, wywiera w każdym społeczeństwie. Że się te wpływy w naszym społeczeństwie potęgują i dla czego?—zbytecznym byłoby mówić. Dostatecznie też dowiedziona została wzajemna zależność skali moralności publicznej jako też prywatnej i skali moralnej i umysłowej kobiety. Jakąż jest ta skala u nas?

U góry, u samej, w salonie przepelnionym kosztownymi sprzętami i utworami sztuki, w mieniących się jak pióra gołębie aksamitach, w puchu muslinów i koronek zjawia się nam „Pani Luiza“ (Orzeszkowa) rzewna, łagodna, wytworna, tkliwa, miłośnica sztuk pięknych, kapłanka ideału... popartego co najmniej 25 tysiącami rocznego dochodu. Jej szafirowe źrenice wzrok mają potulnego, łękiego nieco dziecięcą lub dziewicy z rozmarzonym sercem patrzącej w gwiazdy. Do rozrzutności miłosierna, egzaltowana, w chwilach uniesienia lub pod wpływem góreczszego uczucia zdolna do poświęceń, pani Luiza „myślała i myśli zawsze, że szczęścia nie ma wcale na ziemi... wszystko do czegokolwiek przywiązała się kiedy, na cokolwiek liczyła, opuszczało ją zawsze i zawodziło.“ Gotowa bohaterka do sentymentalnej powieści, dla pani Craven naprzykład złota kopalnia dodatniego typu heroiny. W powieści realnej, rachującej się ściśle tak ze zjawiskami jak i z przyczynami zjawiska i skutkami, jakie za sobą pociąga, typ pani Luizy ujemne robi wrażenie, i etyka pani Orzeszkowej, szukając przyczyn tej zagadkowej niedoli, z nieubłaganą logiką odkrywa pod aksamitnymi pozorami braki i zbożenia, będące powodem niedoli tej eleganckiej rodzicielki. Panią Luizę razi boleśnie ubóstwo rodzinnego kraju. O przyczyny nie pyta—ruina chociażby rodzinnego gniazda w Żmurowszczyźnie łechce przez chwilę jej artystyczne instynkty—zaboleć ją nie może, bo lubi ona przebywać w miejscach, z którymi „wiążą ją najgorętsze sympatyje“, w Paryżu naprzykład gdzie się chowała w klasztorze św. Klary. „Umysł jej bystry

i przenikliwy, gdy szło o rozpoznawanie i odgadywanie najsubtelniejszych odcieni piękna, tępym był i ciężkim wszędzie, gdzie szło o najprostsza, najelementarniejszą prawdę.“ O interesach pieniężnych pani Luiza wie jeno tyle, że jej pieniądze potrzebne, by sztucznie zapełnić czezość życia. Nie waha się przed złamaniem umowy ze swym dzierżawcą, gwoli fantazyi i dla tego, że jej ktoś wyższą daje dzierżawczą sumę, a ona potrzebuje wyjechać za granicę. W gruncie rzeczy samolubna, nie ma wyobrażenia o tych celach życia, do których złotym kluczem bywa fortuna. Dla ogółu miewa w pół wzgardliwe, w pół litościwe jakieś uczucia, lecz między nim a nią nic nie zadzierzga węzła solidarności. Niezdolna oprzeć się żadnemu kaprynowi, ani się pogodzić z tem, że miłość jej dla księcia Jasia, dwudziesto-letniego młodzieniaszka, jest nonsensem, a obdarzanie pochlebnic nic nie ma wspólnego z miłosierdziem, „tęszchnoty swe i pożerające ją pragnienia wozi z sobą po świecie całym, z miasta do miasta, wyrzuca je ludziom, szuka na nie pociechy u Boga.“ Kwietyska i spirytualistka, z temperamentu, z wychowania i z mody, nie ma tej religii „która ukojenie wielkie wlewa w serce zmęczone niedolą i burzami życia i goi łagodnie najbardziej zda się nieuleczalne rany.“ Religia jej, zarówno jak cała moralna istota, nie znała co to znieznijająca i uszczęśliwiająca cześć dla Najwyższej mądrości, miłości i sprawiedliwości. Mądrość i sprawiedliwość były dla niej wyrazem bez znaczenia; miłość znała tylko z jednej, wyłącznej a najciaśniejszej, najlichnieszym skazom podległej strony... Oczy jej, wiecznie szukające czegoś, co niewyraźne i niepochwytnie istnieje we mgłach i urokach, w przestworach bezgranicznych, zdawały się rzucać pod cienie, wysokie sklepienie świątyni, pełne namiętnego żalu pytanie: kim jestem? po co żyje?

Kim jest istotnie ten sztuczny wytwór kobiecości, w którym wrodzone zdolności artystyczne, wykrzywione wychowaniem i otoczeniem, stają się zgubną wadą i śmiesznością? Po co żyje istota, która posiadając wszystko, co jest potrzebnem dla zajęcia w społeczeństwie wybitnego, dobre wpływy roniącego stanowiska, staje się szkopułem nieużytem i szkodliwym? Pospolity to u nas typ damy wielko-światowej. Kandydatki rekrutują się pomiędzy dziewczynkami wczesnie lokowanemi na wychowanie po klasztornych wychowawczych pensyonatach w Paryżu i w Wiedniu. Rekrutują się też czasem—ale już rzadziej—pomiędzy panienkami wychowanemi przez matki mające, jak pani Bujnicka (Sienkiewicz „Dwie drogi), zwyczaj „nie cierpieć gdy kto mówi wprost“ o najprostszych, chociażby takich jak małżeństwo, pieniądze, rodzina i. t. d. rzeczach.

Niżej odrobine, w szlacheckich dworach i dworkach posiadających coś nakształt quasi pańskiego salonu, spotykamy także znane nam już panie Kalińskie (Orzeszkowa „Stracony“) „kumoszki z szczyptą salonowej etykiety,“ rodzone mamy takich Femci polujących na mężów najnieprawdopodobniejszymi koafiuarami, i takich potulnych dziewczątek jak ta Jadwisia, co choć się ogryzała z Femcią, kochała uwięzionego i hańbę szlachetnemu domowi Kalińskich przynoszącego braciszka. W świecie tym spotykamy też czasem odmienny typ matrony. Poważna, majestatyczna, melancholijna, kochająca się w ciemnych barwach, przyciszonych, dźwięcznych słowach, „gardząca smutną prozą życia“ pani Przyborska (Orzeszkowa „Szara dola“), o interesach najmniejszego nie ma wyobrażenia, bo jest kobietą. Niewiasty podobne kobiecość swą wieczyście wysuwają naprzód jako tarczę, chroniącą je od wszelkiej odpowiedzialności. Ile tam słówek namaszczo-nych, zasad tak duchowych i uduchowionych, że doprawdy zdawałoby się mogło, iż to są duchy jakieś zbiegłe przypadkiem z gwiazd na ten padół... niskiej materii... Jakże się to staje, że syn przez taką mamę wychowany, odznacza się zwykle najgrubszym materializmem a czasem, jak młody Przyborski, cynicznie dzieli ród niewieści na gęsi: i kokietki? „Za młodu to konfitury smażą, albo balują i co was to ofiara! Na starość dopiero zaczynają się romanse z Panem Bogiem, albo wojaże po gwiazdach.“ Jestże to tylko objaw reakcyi, czy może następstwo głębszych przyczyn?

Tenże sam wyżej przytoczony młodzieniec mawiał, że: „posażne panny... no... to jeszcze gatunek przydatny do celów utylitarnych... ale inne... do haremu.“

Emilia Żmindowa (Orzeszkowa „Szara dola“) w parę godzin po pogrzebie córki, wdzięczy się do przejezdnego, mającego ją uwieść panicza. Kończowa (Orzeszkowa „Czternasta część“), chytra i kokietka, gotowa duszę sprzedać za lansiery Ernesta Robko, gdyby lansiery tak drogo się kupowały... Matka Julianki niezdolną jest przez spełnienie obowiązków macierzyńskich opłacić obłęd swój i uświęcić miłość... Żona poczciwego Karła Kruga (Okoński) pociesza się z portyerem, przyjacielem męża...

Smutny ten świat nasz kobiecy, którego typowe nędze i zboczenia na szczeblach „Różnych sfer“ odstoniła pani Orzeszkowa. Świat fałszywych blasków i głębokich mroków, wysokolotnych porywów i niskich upadków, skrzywień, zboczeń, których przyczyny tkwią głęboko a skutki odbijają się jękiem bólu lub zdrożności na każdej strunie losów indywidualnych i społecznych. Lekkość i lekkomyślność, pustka i pustota, próżnia i próżność stanowią błędne koło tego światka, w którym

najwstrętniejsze spotykamy przywary, i nawet taka pani Janowa (Prus „Szkatułka babuni“), z pod wezglowia umarłej teści wyciągająca to, co sądzi, że zawiera bogactwo, znaleźć się może. Pod pozorami sentymentalizmu i naiwności, u trzech czwartych kobiet naszych, kryje się chciwość, mętne nader wyobrażenie o uczciwości, jako też o znaczeniu pieniędzy, rozrzutność płocha lub brudne sknerstwo, oschłość serca lub rozwiążłość obyczajów, przesady, nieuctwo, niewdzięczność, upór, fałsz i wiarołomstwo. „*Tout y est sauf le nom propre*“ — nazywania bowiem kota kotem, a rzeczy właściwym im imieniem, nasza płeć nadobna unika ze szczególną starannością, a wyznać trzeba, że i ze szczególną zrecznością.

Przy takim stanie rzeczy, w powieści realnej, społecznej i obyczajowej kobiety, wyglądają tak, jak gdyby wychodziły z pod tłoczni satyry. W cyklu rozpatrywanych obecnie powieści nader rzadkie spotykamy dodatnie typy kobiet. Ograniczają się zaś wyłącznie do niewiast najbliższej żyjących z naturą, a przeto najmniej podległych wpływowi fałszywej kultury. Na temże tle rysują się jedynie piękne i prawdą życiową drgające romanse.

Myłilby się bardzo, ktoby sądził, że w wiązance nowelli o jakich mówimy, lub zgoła w powieści polskiej, romans takie ma znaczenie i tak się rozegrywa jak w powieści, czy to romantycznej, czy naturalistycznej francuzkiej. W samem już zrozumieniu miłości tu i tam zasadnicza zachodzi różnica. Tam za temat do romansu służą zwykle intrygi mniej więcej namiętnością upstrzone, wiarołomstwo itd. U nas ciemne te strony romansu cofają się na najdalsze plany, istnieją w zarysach szybkich, surowych i karcących napomknieni. Miłość, chociażby niewiem jak czysta, gorąca i zacna, nie zwykła wypełniać u nas całych ram powieści lub nawet powiastki; bywa traktowaną jako ważna część, ale część tylko składowego obrazu. Czasami bywa tak skromną i z tak głębokiego cienia wylania się nieśmiało, że niewprawne oko nie dostrzeże, a do awanturnicznych romansów przyzwyczajony czytelnik wyśmiać z wzgardą gotów to, co jednak niewątpliwie jest miłością i to miłością najlepszego gatunku. Damian Capenko (Okoński), choć się w westchnieniach nie rozplywa i o powszednich swych obowiązkach nie zapomina, a widzi jasno, że bogdanka jego „przytłusta i tęga“, szczerze kocha pannę Hortensyą Motylińską, i gdy odkupuje zarubla od Tabora sztukę perkaliku, by ją swej wybranej ofiarować, występuje z całą wspaniałością kochanka - narzeczonego, który rad i bogdancę swej się przysłużyć i rywala upokorzyć i umartwić. Wikta (Bałucki „Z książeczki pamiętek — Romans wyrobnika“), gdy troskliwą ręką opatruje kolano Walka Furdy, który zleciał z rusztowania, gdy w parę tygodni

potem „ubrana w tę samą niebieską spodniczkę, z której wyszarpiała kawałek na ranę Walka—ale opłókaną z kurzu i załataną, czarne włosy ma tak starannie przyglądzone, że wyglądały z pod chustki jak dwa lśniące pióra krucze“ idzie za nim powolna „skubiąc ustami dla zabawki gałązkę wikliny“, jest bardzo wdzięcznym obrazem zakochanej. Gdy zaś Walkowi mówiacemu: „E, kaj-taby nas było stać na żeniaczkę, to dużo kosztuje!... ona jak wziena domawiać,“ że każdy kto do nich przemówi, chce, żeby się on z nią żenił, tak i postawiła na swoim, jako i zakochana i uczciwa i logiczna kobieta. Przyjdzie chwila, że się Walek zapożyczy u żyda parę reńskich i sprawi wesele „i nie pożaluje tego, bo od tego czasu wie dzie mu się aż miło.“

Czy Michał (Bałucki „Z książeczki pamięątek—Dzieci Justysi“), rzemieślnik towarzyszący Justysi na bal na Kleparz, przez nią i przez jej rodziców eksploatowany, sprawiający jej wesele własnym kosztem, ubogą, opuszczoną, chorą przyjmujący do domu swego i osłaniający mężką opieką, a po jej śmierci jak najlepszy ojciec opiekujący się jej sierotami, nie jest na wskroś szlachetnym, wzniosłym kochankiem? Choć ani razu miłości swej Justysi nie wyznał, miłość mu ta przecie całe pożarła i całe wypełniła życie, jednym pasmem w cichości zacnego serca dokonanych ofiar. Całe też życie Teodory Końcownej (Orzeszkowa „Czternasta część“), schodzi na wyczekiwaniu Laurentego Tyrkiewicza, Dwadzieścia lat miała, gdy się poznali „i... i... w cztery lata potem... w tej tam altance z chmielu... raz wieczorem... nie bardzo wieczorem.. o szarej godzinie oświadczył się jej... po dwóch tygodniach wyjechał. żeby sobie lepszemu miejsca starać się... Pojechał, miejsce otrzymał doskonale, ale jeszcze nie wrócił... a od wyjazdu jego na św. Annę skończy się lat ośmnaście.“

Kawał czasu! Przed ośmnastu laty „jak róża rozkwitła“ Teodora, zwiędła, zestarzała, zgorzkniała, „lecz suknię i listki od tego bzu w który była dnia tego ubrana, chowa dotychczas w komodzie i... jeśli on nie wróci... poprosi, aby jej je do trumny włożyli.“

„Co mi tam, — mawiała przez te lat ośmnaście, najlepsze partye, które się jej zdarzały, odrzucając, — co mi tam! dla kogo ja stroić się będę? Ten, któremu pragnęłabym wydać się piękną, daleko... a oprócz niego nie obchodzi mię świat cały.“ Wstydliva, wierna miłość starej panny, tak jest rzewną i wysoce poetyczną, że biedna Teodora, w obłędzie szalonych nadziei siedząca w altanie chmielowej, ustrojona w suknię i kwiaty przechowane jak relikwie od owego pamiętnego dnia z wiosny życia, i wyczekująca do późnej nocy kochanka, co się zaręcza w tej samej chwili z młodą i przystojną siostrą jej bratowej, budzi to współczucie, jakie zwykła wywoływać prawdziwa miłość. Biedna, na

wieczystą samotność skazana kobieta! W sercu jej śpiewały najtkliwsze uczucia i najlepsze instynkty. Była dobrą, pracowitą córką, macierzyńskim sercem ukochała dzieci brata, przez życie całe umiała być wierną pierwszej, jedynej swej miłości... teraz zostanie samotną. U nóg jej legnie chyba „w wielki kłęb zwinięty pstrokaty kundel Filon“, do rąk tulić się będą pąsowe gile... a i te odlecą spłoszone chłodem opuszczenia.

Którejże kobiety kochanki i żony serce nie odpowie echem na widok Cipy (Orzeszkowa „Silny Samson“) siedzącej „na ziemi przy samym piecu“ dymnej izdebki, w której się późno w noc odbywały próby do teatralnego przedstawienia. Patrzała ona na męża i słuchała męża. Gdy inni śpiewali, twarz jej stawała się obojętną, czasem nawet lekceważącą, wzgardliwą; a gdy kolej śpiewania przychodziła na wysmukłego człowieka, tego, który w kamizelce i rękawach od koszuli na stole siedział, wtedy, mrocznie rysująca się w cieniu pieca twarz ta uwiędła, ciemna, z czarną peruką niby z plastrem sadzy nad niskim, pomarańczowem czołem, tak rozpromieniała się dumą, taką okrywała się tkliwą, zachwyconą, niewymowną błogością, iż patrząc na nią, każdy rzekłby: „szczęśliwa kobieta!“ Szczęśliwa stokroć każda z nas, na najskromniejszym w świecie stojąc stanowisku, która sercem całym czuć i wielbić może swoje ukochanie. Nad to szczęście to chyba nie ma już większego.

W wyższych sferach społecznych romans traci tę pełną istotnej poezyi i energii uczucia prostotę. Komplikuje się on tu tysiącem subtelności, omracza powiewną melancholią, staje się podobnym do przerwanego w połowie sonetu, do jakiejś tęsknej i przeciągłej dumki, do niedopowiedzianego gorącego słowa. Jak sonet salonowy, wytworny a wzruszeniem drżący, dziewiczy romans Musia z Ninią (El-em — „Na włosku“, Bluszcz, 1876 r. Nr. 21 i 22). Na włosku zawisło dla nich szczęście, na włosku tego sceptycyzmu, którego się tak łatwo nabawić w światowym życiu. Już, już się miał w niej zakochać... ale... czy warto? U mężczyzn jak i u kobiet zdarzają się „przejściowe chwile“ — u nich wywoływane bywają walką jakąś, która się w głębi męzkiego łona toczy... machnąwszy na to i owo ręką, rzucają się w pracę swego zawodu i — koniec rzeczy...“ Kobiety zaś „nie mają — jak mówi raz wzruszona, z żaławionem okiem Ninia — ani takiej filozofii, ani takiej pracy. Zostają z rozkołysaną myślą, o mnóstwo rzeczy zaniepokojone, siebie niepewne a w ciasnym kółku życia nie mogą ani wzbudzonych niepewności rozstrzygać, ani takich ludzi łatwo znaleźć, którzyby im — do rozstrzygnięcia ich dopomogli.“ Ona mu wyraźnie mówi, że go kocha, tylko że tego nie wymawia słowa; on się ociąga... Kiedys, zbu-

dzony wspomnieniem tej chwili, przybędzie do niej ze spóźnionem wyznaniem, zaręczona z innym Ninia wysłuchać go nie będzie mogła.

— „Przyjedź! powróci!“ Jakże często słowa, te, jak zwrotka w pieśni, powtarzają się przez długie, długie lata. Zrazu Celina (El-em „Gasnące lato“, „Bluszcz“ 1878 Nr. 29), mówiąc te słowa wpinała kwiaty do kruczych warkoczy, uśmiechała się na wspomnienie tego, „któremu zawdzięczała pierwsze, drżące uściskanie ręki; pierwsze, głębokie wymownych oczu spojrzanie; pierwsze, jak pierwszy brzask słońca, złociste marzenia, i pierwszą w życiu bezsenność.“ Dla owego oczekiwanego odepchnięcia wyciągające się do niej i po nią ramiona uczciwego i kochającego ją człowieka. Wiarę swą i nadzieję potrafi przelać w serce matki i odtąd we dwie przez wiosnę i lato i jesień i zimę czekać będą „przez długie lata“, w milczeniu, ze zwyczaju... czekać będą, aż raz późną jesienią o zachodzie słońca, smutna matka chyłąc się nad uspięciem swem dzieckiem, przez sen uśmiechniętem do nadziei: przyjedź! powróci! ujrzy „włos siwy złowrogo kręcący się w pośród czarnych na głowie splotów.“

Smutne to jak zachód dnia jesiennego, jak tęskna przeciągła dumka... prawdziwe, jak niewypowiedziane nigdy nadzieje kobiet posiwały w oczekiwaniu...

Czy się poważny sensat pan Stefan (El-em „Trzy lekcye kokietery, „Nowiny“, 1879, Nr. 74—82), wykładając rzecz o miłości pięknej i zalotnej Hani, pokochał w niej czasem — rzecz ta została niedopowiedziana. Słowo ostatnie zawisło w gorącym, przyspieszonym oddechu samotnika... Nie dowiedzieliśmy się, lecz domyślić łatwo, dla czego został starym kawalerem.

Powiedzieliśmy wyżej, iż rzadko kiedy w literaturze naszej miłość sama wypełnia ramy powieści. Jak w życiu tak i w utworach literackich, na szalę życia, gdzie miłość utrzymuje równowagę szczęścia, padają różne wypadki, obowiązki i uczucia. Nie zawsze też autor, który miłość chce opiewać wyłącznie, wychodzi na tem dobrze. Nuąc tę pieśń, łatwo wpaść w kłiwłość lub o fałsz psychiczny i etyczny potracić. Tak się stało z „Przeklętem Szczęściem“ Prusa, a artystyczne zalety: werwa, naturalność, prostota plastyczna, odznaczające zwłaszcza pierwsze stronnice tego romansu, nie uchroniły go od rozbicia się o ton fałszywy. Na początku miłość ubogich nowożeńców, trwogi męża o niepewne jutro, są psychicznym, konsekwentnym procesem. Już spadek ów olbrzymi wygląda jako wypadek spowodowany nie konsekwencją sytuacji, lecz wolną wolą autora, na tym wypadku życzącego sobie zbudować romans. Że z wielką a tak niespodziewanie spadającą na człowieka fortuną, spaść może niejedna pokusa, o tem nie ma co i mówić—

ale ażeby tak, od razu pieniądze miały wyrugować z serca młodego małżonka kochaną i kochania godną żonę i żeby tak od razu puścił się w awanturniczą podróż z kobietą nie kochaną przecie a, jak się pokazało, i niekochającą — to już trochę dziwnie. Żeby zaś kilka miesięcy miał strawić na tej awanturniczej podróży i ani się dowiedział o tem, co się w domu dzieje z tamtą, z kochaną, z wierną, i aby miał trafić jak raz na jej pogrzeb, — to już bardzo dziwne. Żeby znów na tym pogrzebie, po poprzednich awanturach, tak od razu miał umrzeć, iżby serce lekkomyślne co najmniej, tak od razu pękało na świeżej mogile opuszczonej niedawno żony, — to już całkiem nieprawdopodobne, niezgodne z prawdą życiową, psychiczną i etyczną. Na fałszywej zbudowana zasadzie powieść, odznaczająca się zaletami stylu i kunsztownego miejscami aż do subtelności ozdobienia, nie wywiera i wyrzucić nie może dobrego wrażenia. Amelia przytem nic nie małswowskiego. Żywcem jakby wycięta z sensacyjnego francuzkiego romansu, odejmuje utworowi, który przyozdobić miała, cechę oryginalności.

Bywają jednak wypadki, w których miłość wypełnia ramy całego utworu, a utwór nietylko nie jest cikliwym lub fałszywym, lesz owszem brzmi od początku do końca jak najdoskonalszy poemat, najczystsza sielanka, a zajmuje, oczarowyywa czytelnika, chociaż w pieśni tej miłosnej nie ma szczególnych wypadków i tragedyj. Romans płynie naturalnym tokiem życia, młodości, poezyi, uczucia, skrzy się zmiennymi barwy kameleona, płonie żywą, jasną i czystą iskrą, zarówno obcy wybiegom sztucznego sentymentalizmu, się fizyologicznym — ba! wdziedzinę patologii wkraczającym raz wraz jak zagłębianiom szkoły naturalistycznej. Romans taki nie nuży czytelnika, gdyż jest *prawdziwy*; nie polując na efekt i nie szukając sytuacji, wywiera tem silniejsze wrażenie, że czytelnik znajduje w nim echo własnych, naturalnych uczuć i poniekąd dziejów. Wiadomą zaś jest rzeczą, że w utworach sztuki człowiek szuka pewnej części samego siebie. Im odwierciedlenie bywa wierniejsze i zarazem doskonalsze, tem silniejszemu czytelnik, słuchacz i widz podlegają wzruszeniu. Umieć „przemówić do serca,“ nie jest czem innym, jak znaleźć słowo, podsunąć obraz, sytuacją, zdolne obudzić współczucie.

„Trudno, — mówi Sienkiewicz (Dwie drogi) wymówić, ale równie trudno wysłuchać słowa: *kocham*, bez gwałtownego bicia serca. Każdy, kto je raz w życiu wymówił lub wysłuchał, pamięta dobrze, jakie wzburzenie, jaki niepojęty zamęt, jaką rozkosz, ale i jaki przestrich budzi ono, gdy płynie nietylko z ust, ale i z serca. Hej! świat się zatoczy, zakręci i pociemnieje i zabłyśnie razem. Słyszysz szum własnej

krwi w żyłach, szelest własnego pulsu. Jedno małe słówko! a jest w niem tyle wartości, ile warto szczęście. Nie więcej rzuca światła cicha błyskawica na tło nocne, jako to słowo na ciemne i głupie strony żywota. Ale ma i ono stronę odwrotną. Gdy brzmi bez echa, bywa śmiesznem, gdy bez prawdy — nikczemnem. A jednak często brzmi i w ten sposób. Biblia nie może zabronić szatanowi, żeby ją cytował, tak i ono nie może zabronić mężczyznom — żeby je kupowali, kobietom — żeby je sprzedawały, głupcom wogóle — żeby go nie rozumieli, konwenansowi — żeby je odrzucał. Dla konwenansu jest ono zasilnem, a jeśli porównanie do błyskawicy się podoba, i za jaskrawem. Zład ucywilizowany i ogładzony głupiec nie wymawia go, ale daje do zrozumienia za pomocą omówień, które są plewami nie wianami powiewem prawdy i prostoty.“

Zdala też od konwenansu rozegrywają się romanse Sienkiewicza, bo miłość prawdziwa, gorąca i rzewna zarazem, kocha się w blasku dziennym, lubi spoczywać na łonie przyrody, kąpać się w świeżych powiewach gór, łąk i borów, kryć się w domowe zacisza; a w salonie konwenans tam dopiero się kończy, „gdzie się zaczyna szara godzina.“ Czyż uczucie prądziwe, gorące, głębokie, przenikające całe jestestwo i torom życia nadające kierunek, uczucie, którego sama wstydlivość jest dumną, może się kryć w zmroku, wyrażać pół-słówkiem lub pół-westchnieniem, jak paroksyzm febry zjawiać się w pewne, z pod kontroli konwenansu wybiegające godziny, by ustępować wnet z placu? Taka miłość istnieje czasem, krwawi się bezustanku męczeństwem przymusu, trawi swe ofiary lub rwie węzły je krępujące, bo uczucie miłości, jeśli jest głębokie, wszystkim władzom i zdolnościom człowieka rozkazuje, posługując się nimi wówczas nawet, gdy władze i zdolności zdają się obracać ku innym celom.

— Myślałem o niej po całych dniach,—mówi Ralf, (Sienkiewicz „Przez Step“) a nawet nocą, gdy ochrypli od nawoływań: „All's right!“ szedłem wreszcie na wóz i owinąwszy się skórą bawołą, zamykałem oczy, aby zasnąć. Zdawało mi się, że owe komasy i moskity, brzęczące koło mnie, śpiewają mi bezustanku do ucha imię Lilian! Lilia! Lilian! Postać jej stawała przy mnie w snach moich; po przebudzeniu pierwsza myśl leciała do niej jakby jaka jaskółka...“ Któż z tych, co kochają lub kochali, nie dosłyszy w prostem tem a prawdziwem określeniu miłości echa własnych uczuć? Kto nie pamięta „chwili szczęścia nieznanego, niewypowiedzianego, większego i mocniejszego od wszystkich rozkoszy? Taką chwilą boską jest chwila dotknięcia usty ręki ukochanej. Uczucie piersi

rozsadza, rwie się nieskończoność, taje w bezbrzeżnej czułości, bierze i oddaje się w zamian, czci i osłania. Taka miłość nie jest ani obłudem zmysłów, ani wytworem sztucznego sentymentalizmu. Miłość to na wskroś żywa, drgająca wszystkimi wzruszeniami namiętności, ale namiętności zapalanej u najwytworniejszych moralnych uczuć: namiętności uszlachetniających naturę ludzką. „Gyby mi Bóg darował właśnie wszystkie królestwa na ziemi i wszystkie skarby na świecie, — mówi Ralf, — to jużbym nie oddał za nie jednego zwitka jej włosów, i nie opuściłbym jej i poszedł za nią przez góry i pustynie, stopy jej całując... i modliłbym się do niej...” A dalej — „pijani byliśmy oboje sobą, szczęściem i uniesieniem. Nie śmiałem się poruszyć, ale, że duszę miałem przepełnioną, że kochałem sto razy więcej, niż to pomyśleć można lub wyrazić, więc tylko oczy wznosiłem ku górze, szukając, gdzieby przez gęstwą liści można spojrzeć na niebo...” „Bóg widzi! — mówi — kochałem bardzo jej śliczną twarz i jej warkoczki długie i oczy takie błękitne. Bóg widzi, kochałem wszystko, co w niej było, każdą jej mizerną sukienkę — i tak mnie do niej ciągnęło, że ot, rady sobie dać nie mogłem; ale był jeszcze inny w niej dla mnie urok — a to jej słodycz i tklivość... Przytem to czyste serce z taką się uczuciu poddawało wstydlivością, żem czuł, jak musi kochać, gdy słabnie i na ofiarę się daje. A wtedy, co tylko dusza mężka ma w sobie poczciwego, to się zmieniało w jedną wdzięczność dla niej...”

Temu co jest „poczciwem w duszy męzkiej“ a co w miłości zobopólnej zmienia się „w jedną wdzięczność“, temu w duszy niewieściej odpowiada bezgraniczna ufność i to głębokie poczucie z jednej strony własnej godności, z drugiej czułości bezbrzeżnej, dla której wszystkie ofiary zdają się zbyt lichą ceną, za bezcenną dane miłość. To też Lilian oddaje się bez wahania sercu Ralfa — i nie myli się. Gdy się Ralf zbudził z tego snu, w którym „wszystko znikło mu z oczu i zdawało mu się, że cała kula ziemską leci gdzieś z niemi...” wziął ją za małżonkę „wobec nieba, ziemi i Boga... Ręka w rękę z podniesionymi głowami i śmiałem okiem wrócili do taboru“, gdzie Ralf powtórzył swe śluby: „Gentlemanowie! bądźcie świadkami, że wobec was nazywam tę kobietę, która przy mnie stoi, żoną moją, i tak też świadczcie przed sądem, przed prawem i przed każdym, ktoby o to czy na wschodzie, czy na zachodzie was pytał.“

Czytającemu romans ten (Przez stępy) tklivy, gorący i wzniosły w nadzwyczajnej swej prostocie, mimowolne nasuwa się pytanie, coby z podobnej sytuacji zrobił powieściopisarz francuzki i to bez względu do jakiejby należał szkoły: naturalistycznej, czy też sentymentalnej?

Nasuwa się też pytanie, czy romans ten płomienny i rzewny, rozegrywający się na tle dzikich stepów, wśród zgrai emigrantów i przygód awanturniczej podróży, tak świeżym jest i uczciwym a głębokim dla tego tylko, że bohater „wielki Ralf“ jest „Knigh'em — „polakiem z rycerskiego rodu“ — czy że i autor jest polakiem i Knight'em? Na ogół, romans polski z rzadkimi nader i narodowego charakteru pozbawionymi wyjątkami, odznacza się uczciwością a nawet obyczajnością wybitną. Nadto, stojący śmiało pod sztandarem postępowych idei Litwos, posiada artystyczny temperament w najwyższym stopniu rycerski, czyli raczej szlachecki. Pozorna ta sprzeczność nie zadziwi nikogo, kto szlacheckość swojską dokładnie rozumie, wie z jakich się składa pierwiastków i jaką wytworzyła szkołę, to jest tradycją.

Temperament artystyczny Litwosa, któryśmy dopiero nazwali *szlacheckim*, wyraźniej jeszcze przebija się w *Hani*, najwytworniejszej sielance młodości i miłości, jaką piśmiennictwo poszczycić się może. I tu autor odbiegł daleko od konwenansu, w zacisze staro-szlacheckiego gniazda. I tu na tle nagromadził z właściwym sobie talentem krajobrazy, tym razem za temat biorąc swojską przyrodę: staw otoczony wierzbiną, mostek przy młynie, gęste szpalery ogrodu, grzędy truska-wek, drogę na skraju lasu. Na tło to rzucił dwór stary, gdzie życie starym płynie obyczajem, dwoje u skłonu dzieciństwa pacholąt, jedno szlacheckie, dumne a tkliwe, drugie z impetem i fantazją odziedziczoną po tatarach praojcach. Między niemi, towarzyszącami lat dziecinnych i nauk, stawia bohaterkę... nie doskonałą piękność, ani wybitnemi zaletami umysłu lub serca ozdobną dziewicę, ot, po prostu wiejską pannienkę, mniej urocą wprawdzie niż *Zosia* w panu Tadeuszu, lecz niewątpliwie należącą do tego samego co *Zosia* rodu bohaterek. Nic prawdziwszego nad proces rozwijania się miłości Henryka dla *Hani*. Młodzieńcza ta miłość przechodzi wszystkie stopnie i fazy uczucia, ociera się o namiętność, miewa chwile wysoce dramatyczne, brzmi najczystszy liryzm, ani na chwilę nie wpadając w cikliwość, ani na krok nie rozmiijając się z realizmem powszedniego życia, ani na chwilę nie tracąc świeżości młodzieńczej, poetycznej, ani na krok nie rozmiijając się z najskrupulatniejszą obyczajnością i uczciwością. Wrzący, z niezrównaną plastyką z ram utworu występujący Selim Mirza, porywając *Hanię*, nie myśli bynajmniej o uwiedzeniu dziewczyny. Stary Mirza sam porwaną odwozi. Całą tę w pół dziecinną sprawę ojcowie biorą do serca, bo ojcowie ci należą do tej kategorii ludzi, dla których z honorem, to jest z uczciwością, żartów nie ma. Kto się też baczniej wpatrzy w postać ojca Henryka, o porannej godzinie stojącego na mostku

przy młynie i mrużącemu pacierze, ten zrozumie jego ciche słowa: „Niech cię prowadzi Bóg ojców twoich! idź chłopcze, idź się bić z tatarem.“

Głębokie, poważne i uczciwe zrozumienie miłości jako obowiązku i jako nieoddzielnej, najpiękniejszej i najlepszej części życia, stanowi w powieści polskiej cechę, nie bez donośnego etycznego znaczenia. Zepsucie tu jak i gdzieindziej skazić mogło i skaziło obyczaje, lecz skazania tego nie uświęca sztuka i literatura. Moralne uczucie i smak publiczny utrzymują one niezamordowane w karbach uczciwości, podnoszą do niedościgłej gdzieindziej skali. Nie pozwalają materyalizmowi przekrzywić i sponiewierać a cynizmowi spot warzać najnaturalniejszych z uczuć, tych właśnie, które źle zrozumiane, strącają człowieka bardzo nisko, dobrze zaś pojęte, odczute głęboko, najwyżej podnoszą tak pojedynczych ludzi jak społeczeństwa całe. Podnoszą tak wysoko, że Bałucki („Niespodzianka Filipa.“ Z książeczki pamiątek.) nie za wiele powiedział mówiąc:

„Jeżeli nieśmiertelność stworzyli sobie ludzie, to nie egoizm ją stworzył, o! nie — tylko miłość.“

(Dok. nast.)





NASI NOWELLIŚCI.

Szkice z współczesnego piśmiennictwa.

(Dokończenie.—Patrz zeszyt 153)

Z przytoczeń, którycheśmy nie szczędzili, zbyt szerokie w stosunku do pobieżnego szkicu, zbyt szczupłe w stosunku do bogatego przedmiotu dając im tu miejsce, wnosić już można poniekąd, jakie koło zakresiła sobie etyka naszych nowellistów. Badać potrzeby nagłące społeczeństwa swego, prostować zboczenia, surowo karcieć zdrożności, podnosić sztandar ideałów, zachęcać do dźwignia się z upadku, zostało zadaniem, któremu, jak to widzieliśmy dopiero, sprostać umieli ci, których talent wyniósł na stanowisko przodownicze. W podobnym natchnieniu i pod naciskiem takich potrzeb a celów poczęte, utwory beletrystyczne, z natury rzeczy muszą być i *realne* i *tendencyjne*. Pozbawione tego podwójnego charakteru, przestałyby być żywotnemi, mogłyby zyskać poklask pewnej koteryi lub szczególnych znawców sztuki—nie zadowolniłyby ogółu, dla którego pozostałyby obce lub niedostępne. Czy jednak nowelle, o jakich mówimy, są dydaktyczne? Bynajmniej. Artystyczna ich wartość ocenioną była kilkakrotnie już przez sędziów biegłych, w których ślady wkrazać nie mamy prawa; dla dokończenia jednak tego szkicu, kilka uwag w tym względzie nie będzie może zbytiecznem.

Wiadomem jest, że aby utwór sztuki mógł wywrzeć żądane wrażenie, powinien zharmonizować treść z formą. Im doskonalszą będzie harmonia, tem potężniejsze wrażenie utwór wywierać będzie. Im zaś treść żywotniejszą będzie, a forma prostszą i powabniejszą, tem wrażenie odpro-

mieni się w szerszem kole, tem utwór stanie więcej się popularnym. Pomijając inne zalety artystyczne, warunkujące wszelką kompozycją, położymy nacisk na główne z nich a mianowicie: na oryginalność, plastykę i poetyczność. Podstawą oryginalności jest — obok pewnych subtelności etycznych — koloryt narodowy, lokalny. Zdolność pochwycenia i oddania tego kolorytu, zdaje się być spojona z samą naturą talentu pisarza lub artysty. Złożyły się na nią nietylko najbliżej otaczające pisarza lub artystę okoliczności, lecz nadto myślą zaledwie dościgłe pasma świadomie i nieświadomie odziedziczonych wyobrażeń, zamiłowań, wzruszeń, dających się najszcześliwiej wyrazić na odpowiednim sobie *rodzimym* gruncie. Originalność taka rodzima geniuszu i talentu, w tak nieprzeżyte bogatą jest zasoby, że tylko cechę jej noszące utwory bywają długowiecznymi i zajmują czytelników, chociażby bardzo oddalonych od rodzinnego koła, w którem utwory te się obracają. Owszem, wszelkie dzieło pozbawione tej rdzennej oryginalności, blade i wiotkie, wpada w zapomnienie. Tę rodzimą oryginalność znajdujemy niewątpliwie i w „Dzienniku starego dziada“ i w obu tomach „Z różnych sfer“ i w prozą pisanych poematach Sienkiewicza, i w obrazkach „Z książeczki pamiętek“ i w nowellach Prusa. Jeśli „Przekłete Szczęście“ tego ostatniego, nie wywiera dostatecznego wrażenia, dzieje się to przeważnie dla tego, że bohaterowie są pozbawieni rodzimej oryginalności a sytuacja prawdy rodzimej.

Oryginalność zawiera się w etyce, typach, opisach, przenika w styl zostaje jak gdyby wonią rozlaną po całym utworze. Typy, w podwójnym swoim charakterze: ogólnym i indywidualnym, opisy czy to przyrody, czy natury martwej, grup społecznych, czy psychicznych indywidualnych odcieni, zadawalniające wywierają wrażenie wówczas tylko, gdy się odznaczają tak nazwaną plastyką, to jest: gdy wierne są, malownicze i przedstawiają się jeśli już nie ze wszystkich stron w jakieś ruch życia je wprawić może, to dokładnie z tej strony, do jakiej powołaniami są przez pewną sytuacją i pewne otoczenie. Tylko sposób dojścia do rzeczonożego rezultatu należy do natury talentu. Jedni pisarze pod względem plastyki uważanemi być mogą za snycerzy, drudzy za malarzy, a i ci rozpadają się na wielokrotne działy: pejzażystów, miniaturzystów, rysowników; lecz zarówno ci, co piórem władają jak dółtem, jak ci, co na papier kilka śmiałych rzucają rysów, lub dobierają farb i cieni, przy pomocy talentu zamierzonego dościgają celu.

Któż zaprzeczy naprzykład snycerskiej wypukłości portretu Czupurnego (Z dziennika starego dziada):

„Łobuz nad łobuzami, choć go za biletami pokazywać. Buty niemożliwe, dwa razy większe niż jego łapy, spodnie na jednej szelce, obszarpane a za-

tluszczzone, spencerek — wart dukata, kto powie jakiego koloru, twarz zamorusana, włosy jak szopa. A we łbie dwoje oczów jak węgle czarnych.“

Albo ten w dwóch rysach okraz kota czatującego na dachu na wróble, czy nie klasyczny w swej prostocie:

„Rzekłbyś, że stoi na miejscu, posuwa się jak igła zegaru niezna-
cznie, nagle skok i już chrupie.“

Taką samą krótką, dosadną, snycerską charakterystyką odznaczają się nowelle Okońskiego „O życie.“ Z tła jednobarwnego, którego głównych linii z lekka, lecz wyraźnie bardzo dotknął autor, występują typy i sytuacje. Jedno naprzykład słowo podkreślone uśmiechem i spojrzeniem wyświeca cały stosunek żony Karla Kruga z przyjacielem Klotzem. Nikt też na równi z Okońskim nie włada tak treściwą subtelnością charakterystyki i stylu. Wytworna ta pisarska i wśród rzadkich najniepospolitsza pono zaleta, wymyka się niestety z pod uwagi przeciętnego czytelnika.

Bałucki wycina sylwetki. W starym domu, o szarej godzinie, wsłuchując się w dźwięki klawikordu, babunia w pamięci tańczy menuety z dawno, dawno zmarłymi kawalerami... Mamuty ciągną pomalu, jeden za drugim przez Kraków, dziwując się wszelkim nowościom... Pan Jędrzej przysuwa się raz wraz to bliżej do starej swej nieprzyjaciółki Marcinowej... Pan Tomasz, z serwetą na ramieniu i półmiskiem dymiących się zrazów w ręku, staje jak wryty, skoro jego cudowny zegar wygrywać poczyna kuranty... Plastyka też dopisuje Bałuckiemu tylko w tych delikatnych, do cieni podobnych a życia i prawdy pełnych sylwetkach.

W powodzi bieżących dziennikarskich artykułów, zacierają się częstokroć w pamięci czytelnika beletrystyczne utwory, które pomieszczone w szpaltach dzienników, nie wyszły w osobnem, uwagę publiczności ściągającym wydaniu. Dwie nowelle drukowane w „Bluszczu“: „Na włosku“, „Gasnące lato“ i jedna drukowana w „Nowinach“, podpisane El-em, zasługują na to, aby zwrócić na nie uwagę już tem samem, że treścią swą i formą odpowiadają w zupełności warunkom artystycznemu tego rodzaju beletrystycznych utworów. Utwory te bardziej subtelne niż efektowe, pod względem artystycznym nie odznaczają się bogactwem barw lub snycerską energią charakterystyki, nieodpowiednią zresztą dla przedmiotu. Są to bardzo wykwintne, tak pod względem etyki jak obrobienia obrazki, rysowane delikatnem piórem, omroczone przezroczystą, rzewną i tęszną dyskrecją, odsłaniającą rąbek dziewiczo-wstydliwych, lecz głęboko serce i życie nurtujących uczuć. W historii Nini i Musia „Na włosku“ — rozgrywa się jeden z tych cichych dra-

matów serca, których krocie nikną w gwarze świata i salonu. Rozegrywa się zaś szybko, logicznie, w przyciszonych, niedopowiedzianych słowach... jak to zwykle bywa... w salonie... pomiędzy młodemi. Pierwiastek dramatyczny wyraźniej jeszcze występuje w „Gasnącem lecie.“ Obie postaci matki i córki, zwłaszcza postać matki, oddane są z tą mglistą a tem nie mniej wyraźną i subtelną plastyką, która najlepiej odpowiada szaremu, melancholią zachodu oświeconemu tłu obrazku tego. *El-em* należy już do pisarzy, którzy się piórem posługują jak pędzlem—tylko z umysłu zapewne obrazki swoje malował, jak francuzi mówią *en grisaille*.

Boimy się też bardzo, aby i Prusa nowelle, nie wydane dotąd w osobnej książce, nie wpadły czasem w zapomnienie, gdy „Lokator poddasza“ naprzykład, lub „Sieroca dola“, należą niewątpliwie do najcenniejszych klejnotów beletrystyki naszej. Pod względem artystycznym obfitują w pierwszorzędną piękność z taką nagromadzoną rozrzutnością w „Sieroczej doli“, że skrzętniejszy, amerykański naprzykład nowellista, z samej ucieczki Jasia i błąkania się po Warszawie, zrobiłby pewno kilka nowelli. Bogactwo to nie nadweręża jednak wrażenia całości „Sieroczej doli“, która nigdzie nie grzeszy rozwlekłością. W obrazie o doskonale zwartych ramach, gromadzą się typy, charaktery, obrazy, otwierają się perspektywy w mierze nienaruszającej harmonii kompozycji. Jeśli tak dogodnego dla krytyki porównania dzieł pióra, do pokrewnych z niemi a bardziej plastycznych dzieł dłuta i pędzla, używać dalej mamy, powiemy, że Prus w wyż wzmiankowanych nowellach okazał się malarzem rozporządzającym bogatym zapasem barw, cieni i światła, malarzem szkoły flamandzką zwanej, tak pod względem pomysłu jak i wykonania.

Do teje samej malowniczej szkoły pisarskiej zaliczyć wypada nowelle pani El. Orzeszkowej „Z różnych sfer.“ W nowellach tych autorka typy portretuje z całą dokładnością Mierysów i Gérard-Dowów, wraca do nich kilkakrotnie tu, aby zaznaczyć rys jakiś, tam, aby całą fizygnomią lub indywidualność wyświecić jeszcze wyraźniej. Obrazy jej: ciemne wnętrza zagłębiającego się więzienia, mroczne biura władz administracyjnych, ruderami otoczone dziedzińce, kręte zaułki miasta Ongrodu, izba Szymusza, ogniem wieczornym rozświetlona komnata Dyrkowej, zimna izdebka sędziny, gmach opuszczony, w którego korytarzach błąka się Julianka, wywierają silne wrażenie, posiadając ponurą głębokość, na którą autorka rzuca smugi umiejętnie dobranych światła i cieni. Gdzieindziej ponure to wrażenie pierzcha pod śmiejącym się promieniem słońca, lecz obraz nie traci przeto flamandzkiego swego charakteru. Tęszna, szeroka droga pocztowa w „Szarej doli“,

ogródek przydrożny, kędy śród malw i maków Żminda usypia bladą Salusie, Dyrkowa o porannej godzinie zawadzająca piosnki w warzywnym sadzie, Teodora Końcówna w okwieconem okienku facyatki wyciągająca ramiona do czerwonych gilów i tuląca do piersi dzieci brata, Julianka w rogu dziedzińca starego domostwa, jak ptak zawieszona śród gałęzi rozłożystego drzewa, szczebiotem rozweselająca samotność suchotnika, są obrazami pełnymi wdzięku, przez które wije się jasny i ciepły promień poezji, wydzielającej się tak potężnie z najpowszedniejszych wypadków i sytuacji.

Litwos (Sienkiewicz) w utwory pióra przenosi wszystkie zalety malarskie szkoły włoskiej: koloryt olśniewający, świeży, powietrzem niby przepojony, rysunek śmiały, siłą potężną w połączenia z miękkim wdziękiem. Plastykę posuwa do doskonałości, w sceny i obrazy wlewa ruch bujnego życia. — Chociażby ten obraz jeźdźca z „Hani“: „Nagle z tumanu wychyliła się głowa końska z czerwonymi rozdętymi chrapanami, z ognistemi oczyma i z rozwianą grzywą. Biały koń pędził w największym galopie, nogami zaledwie tykając ziemi, a na nim pochylony na szyję końską po tatarsku nie kto inny, tylko Selim.... Nie było czasu bramy otworzyć, bo nikt nie zdołałby na czas nadbiedz; tymczasem Selim pędził jak szalony na oślep i prawie pewnem było, że wpadnie na sztachety przeszło dwa łokcie wysokie i pozaostrzane u góry. Nagle Selim o jakie pięć kroków od bramy wyprostował się na siodle, zmierzzył spojrzeniem jak błyskawicą sztachety.... koń wspiął się, zawisnął przednimi kopytami w powietrzu i w największym pędzie przesadził sztachety, nie zatrzymując się ani na chwilę.“

Typy, czy to dodatnie, czy ujemne, Litwos przedstawia z wykończoną charakterystyką, opisy zaś natury, ruchu i życia pełne, odznaczają się szczególną malowniczością. Połowanie, burza w lesie, zakochana para w czółnie na stawie, rodzina zebrana wieczorem na ganku wiejskiego dworu, powrót studentów do domu, zmieniają „Hanię“ w szereg najpiękniejszych opisowych scen. „Przez Stepy“ posiada stronnice, malowniczością opisów natury, poezją, siłą szczęśliwie wyrażonych uczuć i wzruszeń, mogące współzawodniczyć z klasyczną sielanką Juliusza „W Szwajcaryi.“ Naprzykład Ralf z Lilijan, u zatoki utworzonej przez strumień, pod zasłoną nieprzebitych przez żaden promień liści, przypatrujący się bobrom, czyż nie podobni, odrzuciwszy na bok czarodziejstwo rymu i rytmu, do tych zakochanych których skryła w grocie „kryształowa kaskada.“

Charakterystykę i plastykę Sienkiewicza potęguje humor rodzimy, aż nieco rubaszny, naturalny, połączony z werwą młodą, wypływający z obserwacji i tam nawet, gdzie się ociera o satyrę, chłoszczący ironią

ostrą lecz pozbawioną goryczy. Taką wyborną humorystyczną plastyką, bez cienia przesady, w którą humor tak często popada, odznaczają się młodzieńce z *Grandmondu* i salony ze *specyalnościami* („Dwie drogi”) — przepyszna postać „Starego sługi“ prawiąca wojenne dykteryjki, cały skład sądu w Baraniej Głowie (Szkice Węglem) a zwłaszcza nieśmiertelny Zolzikiewicz, czytający „wydawnictwa warszawskiego księgarza pana Breslauera“ i utrzymujący „że dusza—to para i basta.“ Już to jeśli warszawski księgarz pan Breslauer nie zbankrutował od kilku pociągnięć pióra Litwosa, zawdzięcza to jedynie poziomej skali smaku czytelników lubujących się „Tajemnicami dworu madryckiego“. Wiadać też z tego, że Zolzikiewicz jest bardzo pospolitym typem, samą swą trywialną pospolitością wymykającym się z pod obserwacji literatów, typem, którego szkodliwą i płaską zjadliwość przeniknął Litwos i zaskarżył łzami i męką Rzepowej, przed publicznego sumienia kratkami.

„*Il n'y a pas d'arme plus redoutable que le ridicule*“ i „*le ridicule tue*“ mówią francuzi. Tej cstrej broni śmiertelnemi a migotliwemi razami włada Litwos i włada tem skuteczniej, że się nie bawi nią dla pustej rozrywki lub udatnej sztuki, lecz dla cię swych wybiera spróchniałe, chore i chorobę szerzące członki. W którymś z krytycznych urywków swoich w „Niwie“ jednym pociągnięciem pióra zdyskredytował nieobiecującą pod względem etyki i talentu powieścieo pisarkę, która kazała miłości wyrażać się „całym organizmem“. W „Szkicach węglem“ chłoscze humorem zdrożności pospolite, zakorzenione, których ochyde i doniosłość zmierzyć może tylko umysł wykształcony i do obserwacji nawykły, gdy ośmieszenie ich zraza do nich bardzo chociażby pospolitego i głębiej w rzecz niewnikającego czytelnika.

W „Silnym Samsonie“ pani El. Orzeszkowej, z natury przedmiotu, z dysharmonii jaka zachodzi między środkami a celami i pragnieniami garstki ciemnych, ubogich żydów, bawiących się w celu dobroczynnym w artystów amatorów, tryska promień humoru, złagodzony melanholij-nem współczuciem, jakie niemoc wywoływać zwykła w sercu rozumiejącem nędzę i pragnienia ludzkie. Takim tęsknym humorem owiany jest obraz dzieci Szymszela, małej Esterki w porwanych atlasowych błękitnych trzewiczkach i wieczystie prawowierną jarmułkę gubiącego z ognistej czupryny Mendelka, drepcących po śniegu w ślad za ojcem na „teatr“, sala przedstawień z publicznością i reżyserem, i wreszcie scena z aktorami i gołobrodym Mejerkiem, przedstawiającym uroczą Dattilę „w błękitnej sukni rozpiętej na ogromnej krynolinie, z różowym wachlarzykiem w rękę“. Jest humor i werwa w opisie mieszczkańskich raktamentów u Końców (Czternasta część).

Co do poetyczności utworów literackich, o jakich tu mowa, zbytecznym byłoby dłużej zastanawiać się nad nią. Uderza ona najpospolitszego czytelnika, a autorowie tem większą na polu tem mają zasługę, im z powszedniejszych motywów wykrzesać zdołali tę iskrę, bez której przeblysku nie ma dzieła sztuki. W utworach tych spoczywa zarazem odpowiedź na wielokrotnie zadawane i w najrozmaitszy sposób rozstrzygane pytanie: czy *realizm* w literaturze i sztuce uchyla *poezję*, godzi na *ideał*, tak we względzie etycznym jak i artystycznym? Dość jednego baczniejszego rzutu oka, aby wątpiących przekonać, że nie tylko nie targa się on na ideał, i nie sprzeciwia poezyi, lecz owszem potęguje wpływ i znaczenie ideału, szukając go, znajdując i wskazując na dostępnych drogach, poezję zaś w ożywczych zanurzając prądach, sprowadza do obcowania z nami w powszednim życiu. Utwory belletrystyczne, o których mówiliśmy dopiero, tak zdrowe w treści swej, tak wdzięczne co do formy, powołanemi są do przełamania przez nieuniąknioną swą popularność, wielu przesądnych niechęci powstałych przeciw realizmowi w powieści. Powiedzieliśmy tu o nich zaledwie część tego, co by się powiedzieć dało, to li włącznie, co służyć może do wyjaśnienia ich charakteru i wpływu; krytyki, we właściwym tego słowa znaczeniu, lub w nadawanem temu słowu pospolicie znaczeniu, pisać nie mieliśmy zamiaru. Czyżby zresztą istotnie zadaniem krytyki było szukanie plam na słońcu? Czyż dla ocenienia wartości słonecznego promienia nie dość jest zaznaczyć, że jest jasnym i ciepłym, dla czego jest takim, jakie grunta i w jaki sposób rozegrzać, rozświecić i użyźnić może? Czyż na widok naprzykład posągu, którego układ wywiera wrażenie harmonii, trzeba koniecznie wołać „patrzcie! artysta chybił muskularne zgięcie przychrząstka tego małego palca,“ lub „o milimetr zbyt przedłużył lędźwie?“ Zresztą jakże indywidualne usposobienie krytyka wpływa często na odkrycie usterek w krytykowanym dziele. Ów, chwali początek i koniec, ganiąc węzeł związkowy, ten drugi przeciwnie ma coś do zarzucenia rozwiązaniu, a tamten znów założeniu. Ten chce nagiąć treść utworu do takiej, ów do innej formy. Tymczasem artysta i pisarz tworzy w formie narzuconej mu przez okiełzać się prawidłowością niedające prawa natchnienia i, jeśli twórczą obdarzony jest siłą, utwór jego doścignie zamierzonego celu, wywrze żądane wrażenie, pomimo usterek domniemanych i rzeczywistych, od których arcydzieła nawet nie bywają wolnemi.

Plamy na słońcu! Zwykły śmiertelnik nie widzi ich i dobrze mu z tem. Przeciętny też czytelnik, oświecony światłem zdrowej etyki a rozgrzany talentem pisarza, nie dostrzega tych skaz, braków i omyłek, które razić mogą nawiąkle do ich szukania oko krytyka. Jeśli

w niektórych ustępach w „Książeczce pamiątek“ plastyka nie dopisuje autorowi, jeśli „Niespodzianka Filipa“ i „Rybak z nad Wisły“ nie odznaczają się szczególną oryginalnością pomysłu i wykonania, jeśli „Nie dawał słowa honoru“ jest niezręczne, a zakończenie przesłicznej nowelli „Dzieci Justysi“ wpada w komunał, i jeśli toż samo zarzucić można zakończeniu „Ostatniego z pięciu,“ tej niezrównanej galerii portretów staruszków, czyż przeto nowelle „Z książeczki pamiątek“ przestaną wywierać jak najlepsze wrażenie, i czy mimo całą doniosłość swą etyczną wywierałyby takowe, gdyby były pisane bez artystycznych zalet?

Czy „Julianka“ (El. Orzeszkowa) istotnie nie posiada „właściwego zakończenia“ dla tego, że się osobistość jej „ulatnia,“ ustępując miejsca „zagadnieniom ogólnym losu sierot dotyczącym,“ jak to nowelli tej zarzucił jeden z najzasłużeńszych i najbardziej zaufanie obudzających krytyków? (1) Czy zwłaszcza koniecznym jest aby się czytelnikom „wyraźniej“ przedstawił prawnik Rolicki, w którego usta autorka „Straconego, Dziwaka, Szarej doli i Pani Luizy“ wkłada swe opowieści? Czy wreszcie w czemkowiek zmiejsza się wrażenie wywarłe przez „Milorda“ tem, że „wbrew napisowi, właściwą bohaterką obrazu jest stara Dyrkowa, kochany zaś Rajek epizodycznie tylko występuje.“

Forma opowiadania naocznego świadka miewa istotnie niedogodności zauważane przez pana Chmielowskiego. Zwęża ona obrazy, chociaż podnosi wrażenie prawdy. Forma opowiadania samego i głównego aktora akcji pewnej, miewa też dogodności i niedogodności swoje. Tam gdzie idzie o wyrażenie uczuć ze wszystkimi ich odcieniami, wzruszeń serca i gry wyobraźni; gdzie szczegóły psychiczne składają się na utworzenie całości, forma ta, jak to się okazuje w „Przez Stepy“ (Litwos), bywa najodpowiedniejszym środkiem pisarskim. W „Hani,“ tam gdzie Henryk zagłębia się w analizie uczuć swych i wrażeń, forma ta dopasowaną jest doskonale do przedmiotu. Lecz szybka akcyę, wyskakującą z wypukłą plastyką szczegółów, forma ta krępuje lub sprawia na czytelniku wrażenie nienaturalności. Wrażenia tego doświadcza się, czytając jedną z najpyszniejszych stronic „Hani,“ pojedynek Henryka z Selimem.

„Zawinęliśmy rękawy od koszul: teraz dopiero serce poczęło mi bić żywiej. Wreszcie Selim chwycił za rękojeść, wyprostował się, sta-

(1) „Ateneum“, za Luty 1880 r.—„Młode siły“ przez Piotra Chmielowskiego.

nał w postawie szermierskiej, wyzywającej, dumnej i trzymając szablę poziomo wyżej głowy, rzekł krótko:

— Jestem gotów.

Stałem w takiej samej postawie, wsparłszy szablę na jego szablę“....

Dotąd dobrze. Lecz czy aktor, biorący udział w tym pojedynku ognistym dwóch młodzieńców, mógł obserwować błyskawiczne rzuty walki i z taką malowniczą opisywać je dokładnością?

.....„Uderzyłem odrazu nań tak natarczywie, że aż się musiał cofnąć kilka kroków, a przytem z trudnością utrzymywał moje razy na szabli; na każde cięcie jednak odpowiadał cięciem z taką szybkością, że uderzenia i odpowiedzi rozlegały się prawie równocześnie. Rumieniec oblał mu twarz, nozdrza się wzdęły, oczy wyciągnęły na wskoś po tatarsku i poczęły ciskać błyskawice. Przez chwilę słychać tylko było warczenie kling, suchy dźwięk stali i świszczący oddech naszych piersi. Selim zrozumiał wkrótce, że jeśli walka przedłuży się, on musi uleść, bo nie stanie mu sił, ni płuc. Grube krople potu wystąpiły mu już na czoło, oddech stawał się coraz chrapliwszy. Ale też ogarnęła go jakaś wściekłość bojowa. Włosy rozrzucone ruchem opadły mu na czoło, w otwartych ustach połyskiwały białe zaciśnięte zęby. Rzekłbyś natura tatarska rozbudziła się w nim i zdziczała, czując szablę w ręku i wietrząc krew przed sobą.... Raz już nie utrzymał cięcia i krew trysnęła z jego lewego ramienia, po kilku sekundach sam koniec mej szabli znowu dotknął mu czoła... Przyskakiwał do mnie i odskakiwał, jak ranny tygrys, koniec jego szabli wił się ze straszną szybkością ognistego piorunu koło mojej głowy, ramion i piersi. Z trudnością chwytałem te szalone cięcia, tembardziej żem więcej myślał o tem, żeby je zadawać. Chwilami docieraliśmy do siebie tak blisko, że pierś prawie uderzała o pierś. Nagle Selim odskoczył, szabla zaświszczała tuż koło mojej skroni; ale odbiłem ją z taką siłą, że głowa Selima pozostała na chwilę odkryta; wymierzyłem cios zdolny rozplątać ją na dwoje i... niby piorun uderzył nagle w moją czaszkę; krzyknąłem: „Jezus, Marya!“ szabla wypadła mi z ręki i jakby porażony upadłem twarzą na ziemię.“

Z umysłu przytoczyliśmy cały ten ustęp, raz w przekonaniu, że piękność jego nie znuży czytelnika, powtóre aby wykazać, jak krytyka w najpyszniejszych ustępach znaleźć może usterki. A ponieważ o usterkach mówimy, przytoczmy ostatni obraz w „Szkiicach“ Węgłem.“ Rzeпа postanowił aby już „przyszło na koniec“ jego niebodge:

„Rozległo się gluche uderzenie, potem jęk i stuk głowy o podłogę“....

Gdyby się tu autor powstrzymał, nie naruszyłby praw sztuki, która *okropność* w szczegółach przedstawioną odpycha z niechęcią, w szrankach naturalizmu zostawiając takie na przykład szczegóły, jak te które w rzeczonym ustępie następują:

.....,Potem drugie uderzenie, słabszy jęk: potem trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste“.... Łatwo uwierzyć, że aż tylkokrotne razy potrzebne były dla domordowania Rzepowej; zgrzyt ich jednak razi nerwy i dobry smak czytelnika, odwracającego oczy od tak szczegółowo opisanego mordu.

Epilog w „Szkiecach Węgłem“ jest też usterką osłabiającą refleksyjnym wrażeniem, wrażenie rozgranego przed czytelnikiem dramatu. Może też sprawa Baśki Żabianki z Wachem Rechnio, w sądzie gminnym w Baraniej-Głowie, jest epizodem zbyt czynnym, chociaż wybornie humorystycznym. Może tu i owdzie dałoby się przekreślić jakieś dosadne słówko połajania ludowego..... ale..... plamy to na słońcu.

Jasne bo też, czyste, ciepłe blaski biją od czoła i zbroi rycerza, który wkroczył w podwoje zakłętogo zamku i na ustach uspionej królowy gorący kładzie pocałunek. Zbudził już ją do życia—poślubi go ona tem pewniej, że nasza królowa Sztuka, w przybywszu poznaje nieodrodneho dziedzica własnych swych praocjów.

W. Z. Kościałkowska.

Grodno d. 19 Marca 1880.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**

00-300 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

OD REDAKCYI.

Na zasadzie otrzymanego od Głównego Zarządu Prasy zezwolenia, podajemy do wiadomości czytelników „Niwy“, iż program nasz dotychczasowy rozszerzamy wprowadzeniem do niego *artykułów treści politycznej*, któremi pogląd nasz na sprawy społeczne uzupełniać będziemy.

Na zasadzie tegoż zezwolenia cenę przedpłaty dla prenumeratorów odbierających „Niwę“ bez pośrednictwa poczty, to jest w Warszawie lub w księgarniach warszawskich i prowincjonalnych, począwszy od 1-go Kwietnia **podnosimy o 25 kop.** kwartalnie. Tym sposobem już w kwartale II-im roku bieżącego będzie ona wynosiła:

Rocznie **rs. 8.**

Półrocznie **rs. 4.**

Kwartalnie **rs. 2.**

Dla uniknięcia zawikłania w rachunkach, od prenumeratorów, którzy po dzień 1 Lutego 1881 r. uiszcili w dotychczasowym rozmiarze przedpłatę za następne kwartały *a uiszcili ją wprost w Redakcyi*, żadnej, stosownie do poprzedniego naszego ogłoszenia, żądać nie będziemy dopłaty.

Prenumerata za kwartał bieżący, to jest za czas od 1 Stycznia do 1 Kwietnia roku 1881, pozostaje w dotychczasowej wysokości.

Prenumerata opłacona przez tych, którzy „Niwę“ odbierają wprost z Redakcyi za pośrednictwem poczty, podwyższeniu nie ulega, i pozostaje w dotychczasowym rozmiarze, to jest w stosunku 9-ciu rubli za rok, w tej bowiem wysokości odpowiada ona prenumeracie miejskiej zwiększonej o kosztą pocztowej przesyłki.

Prenumeratorów naszych upraszamy o wczesne odnawianie przedpłaty, jako też o to, aby tę ostatnią nadsyłali *bezpośrednio* do Redakcyi, co ze wszęch względów jest dla wydawnictwa pożądanem.

Redakcyja posiada jeszcze niewielki zapas kompletów oraz pojedynczych zeszytów „Niwy“ z roku 1875, 1876, 1877, 1878, 1879, i 1880, które nabywać można bądź pojedynczemi tomami (półroczniami — po cenie rs. 4 za półroczcie, tak z przesyłką pocztową jak bez przesyłki) bądź — pojedynczemi zeszytami (50 kop. za jeden zeszyt).

Odpowiedzi Redakcyi.

Czytelnik polskiej w Dorpacie. — Komplet z roku bieżącego wysłany 5 Marca
Panu Wl. Och. w Cumanii. — Zeszyt 145 wysłaliśmy.

NOWE KSIĄŻKI

NADEŚLANE DO REDAKCYI „NIWY.”

w pierwszej połowie Marca 1881 roku.

Dzieła Lucyana Siemieńskiego. Varia. Roztrząsania i poglądy literackie. Tom II. Nakład Józefa Ungra. Warszawa, 1881. (str. 315).

Pokuta. Powieść, przez Józefa Rogosza. Nakładem W. Manieckiego. Lwów, 1881. (str. 308).

Marysia Ochocianka. Obrazek ludowy, przez Ludwika Niemojowskiego. Cena kop. 6 (groszy 12). Nakładem Józefa Ungra. Warszawa, 1881 (str. 75).

Davos am Platz i inne znaczniejsze stacje klimatyczne Szwajcaryi, ze względu na leczenie chorób płucnych pod wpływem górskiego klimatu, zebrał *Czesław Stiche*, doktor medycyny. Warszawa, 1881. (str. 40).

Słownik geograficzny Królestwa polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcją: *Filipa Sulimierskiego*, *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*. Zeszyt XV. (Obejmuje nazwy geograficzne od „Drozdów” do „Dybowo”) Tom II. Nakładem Filipa Sulimierskiego i Władysława Walewskiego. Warszawa, 1881.

Uwaga. Redakcyja „Słownika“ prosi o nadsyłanie materiałów na literę E, F, G.

Записки Ново-Александрійскаго института сельскаго хозяйства и лѣсоводства. Годъ четвертый. 1879. Варшава, 1881. (str. 415, 65 43).

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Марта 1881 г.
Друkiem „WIEKU”. Warszawa, Nowy-Swiat Nr. 59.

F

7330